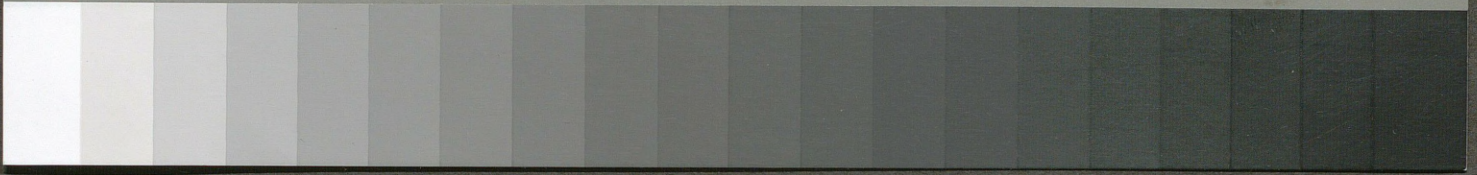




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

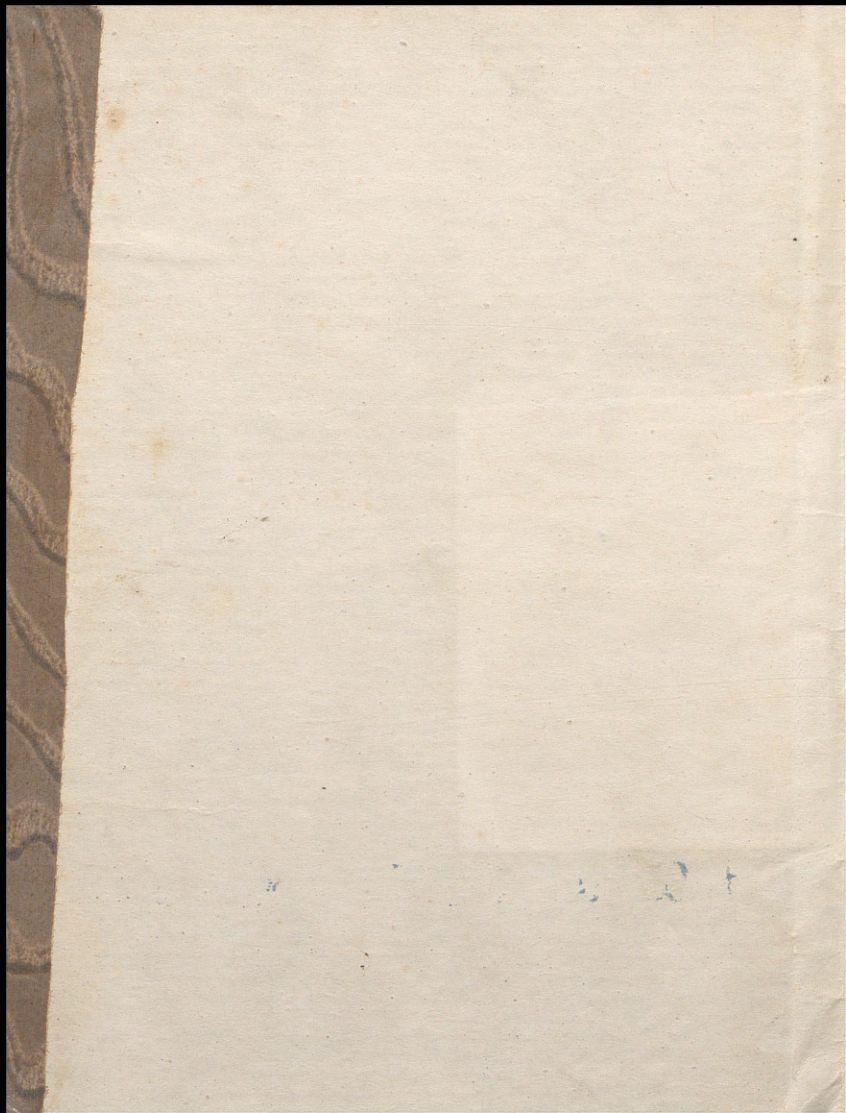


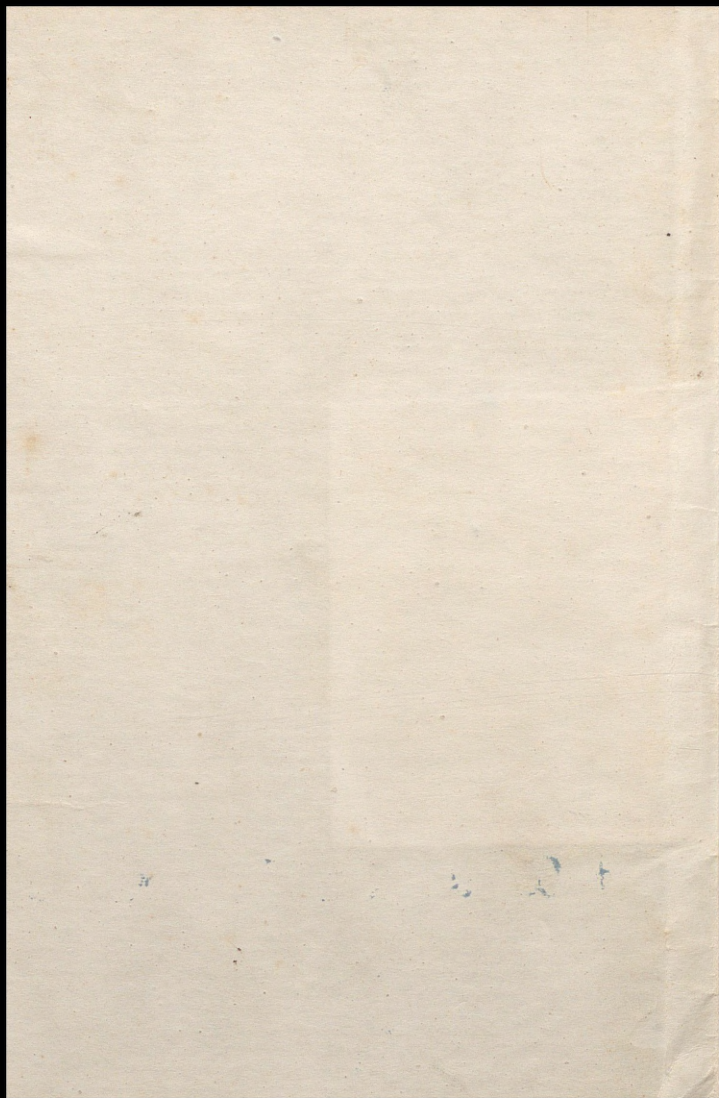


Wiktoria Gombińska
Pamiętniki
Łosieuszkowickie

40 640

H a ł s z a n a
Książka
1948





2934

92 (T. Kościuszka): 93(438)8



9771 / 2

REWOLUCJA KOŚCIUSZKOWSKA.

Tylko naród zwyrodniały, nikczemny lub przez charłactwo przyrodzone na wygaśnięcie skazany, może znosić ucisk przemocy bez protestu. Takim narodem Polacy nie są i nigdy nie będą.

Wzniosłe w założeniu, może tylko przeciętną miarę ludzkich charakterów przerastające, w każdym razie niesłusznie przez historyków potępiane liberum veto, gdy go nadużyto i ku pożytem celom skierowano, zamiast być tarczą wolności, stało się nożem wolność podcinającym. Ale w danej chwili ostrze tego noża zwróciło się przeciw wrogom zewnętrzny, przeciw gwałcicielom swobód, przeciw napastnikom wydzierającym Rzeczypospolitej samorząd i samoistność, a nie mogąc bytu Polsce przywrócić, ocaliło przynajmniej jej honor.

Mógł rząd pod grozą bagnatów, a przedajni dygnitarze i magnaci pod upadlającym działaniem rosyjskich rubli, wyrazić w Grodnie zgodę na bezprawie drugiego rozbioru Polski — naród na kartach historii, krwią własną i wrogów wypisał niestarte, wiekopomne, cześć krajowi powracające:
— Nie pozwalam!

„Naród“ znaczył w tym razie tyleż co lud, a lud — tyleż co mieszczaństwo. Wartość społeczeństwa polskiego odwróciła się: co nosiło miano szczytów, stało się błotną nizina; co było nizina, weszło do znaczenia szczytu.

Mało znajdziemy w dziejach obrazów tak zarazem tragicznych i ohydnych, jak ów Sejm Grodzieński, na którym główne role przypadły nominalnym przodownikom narodu. Prawda, że w całej Europie klasy tak zwane „uprzywilejowane“ — we Francji już zresztą poskromione — doszły do rozbestwienia, równego orgjom upadającego Rzymu, w Polsce jednak nieszczęsnej przepelniły one miarę swych bezceństw najcięższą ze zbrodni: zdradą kraju i Judaszowem sprzedaniem Ojczyzny za srebrniki.

„Ci ludzie — mówi o nich jeden z historyków — wykazali cały ogrom zepsucia wyższych warstw, nad którymi zdołał zapanować chwilowo Sejm czteroletni. Zbiegłszy się do Grodna, moralnie upadli, umysłowo przewrotni, żądni odznaczeń i zysków, zrujnowani zbytkiem — przesadzali się w podłych targach o pieniądze i łaskę ambasadorów, pili zdrowie zaborców, hulali na balach Sieversa. Kobiety współubiegały się z mężczyznami w upodleniu i zepsuciu; frak, kontusz, biskupie fiiolety i mundur bratały się w grze i cynicznej rozpuście, a kobieta, według ostatniej paryskiej mody, gazą tylko osłonią, strojna a prawie naga, wabiła łaskodawców, a w targach pomagała mężczyznom“.

Tam to Kossakowscy, Massalscy, Ożarowscy, razem z protokołami sejmowymi podpisywali na siebie wyroki — które w niecały rok później lud warszawski w Rynku Starego miasta miał wykonać.

Ci, których sumienie było tylko pijane, wytrzeźwiwszy się i zrozumiałwszy ogrom popełnionej w oszołomieniu zbrodni, wpadli w rozpacz. Sądzili, że sprawa da się jeszcze odrobić, że Jekatieryna jest, bądź co bądź, kobietą, a więc serce musi mieć czułe i współczujące... Udali się nad Ne-

wę, padli do nóg carycy — ze łzami błagali, żeby im wróciła wydartą niesprawiedliwie i nieuczciwie Ojczyznę.

— Waszą Ojczyzną Rosja! — oświadczyła im z uśmiechem przyjaciółka Woltera, „Semiramidą Północy“ przezeń nazwana.

Na zagojenie ran serdecznych otrzymali orde-ry, mundury jeneralskie, kosztowne tabakiery i portrety „Semiramidy“ brylantami obramione.

Rewolucja wybuchnęła, gdyż wybuchnąć musiała. Dziwić się można tylko temu, że, jakkolwiek ze względu na orężne pogotowie wybuch jej był przedwczesny, tak długo czekać na siebie dała.

Należała ta rewolucja do tych, które są tak koniecznymi i naturalnymi odruchami, jak wysunięcie żądła przez schwytaną i męczoną pszczołę. Złość i okrucieństwo nie leżą w naturze tego owadu, więc też pszczoła ten wybuch wściekłości przez rozpacz wymuszony, zwykle życiem przypłaca.

Po „trzecim maja“ Polacy nabrali wiary ufności we własne siły, uwierzyli w możliwość politycznego i moralnego odrodzenia. Drugi rozbiór kraju był uderzeniem obucha, które ich z marzeń słodkich zbudziło. Zrozumieli konieczność zbrojnego protestu.

Mina była gotowa — czas wybuchu zależał od okoliczności postronnych. Okoliczności wybuch przyspieszyły.

W końcu 1793, po odwołaniu niespodzianem Siewersa, zajął jego miejsce Igelström.

Pełnomocnik carycy, rządził się w Warszawie, jak w stolicy zabranego kraju. Nakształt wszechpotężnej Ananke, która w greckiej mitologii stała ponad Zeusem, rosyjski oficer w prastarym grodzie mazowieckim postępował śmielej i sa-

nowładniej, niż panujący jeszcze monarcha polski, Stanisław August.

Zaczęła się martyrologja, wiek cały trwać mająca. Więziono w głębi Rosji i wysyłano najlepszych obywateli kraju; groźbami i siłą tamowano wolność słowa posłom sejmującym; bez miary i potrzeby uciskano mieszkańców kwaterunkami (Pistor, rosjanin, stwierdza, że w Warszawie prze-mieszkiwało mnóstwo oficerów rosyjskich, do służby czynnej nie należących); każdego polaka-patriotę, który nieco goręcej miłość ojczyzny objawił, ciągniono przed oblicze Igelströma do tłumaczenia się i odpowiedzialności.

W pałacu na Miodowej, zajęтым na główną kwaterę pełnomocnika rosyjskiego i obstawionym żołnierzami, zaciągano warty wojskowe z bębna-mi i muzyką. Z bram i okien wyzierały paszcze ar-mat; w piwnicach były więzienia dla polskich oby-wateli.

Igelström był z ambasadorów rosyjskich pierwszym, który nad bramą zajętego przez siebie pałacu umieścił wielkiego, dwugłowego orła. Moralny rząd kraju, rząd dusz polskich, znajdował się wówczas zagranicą; składali go: Kościuszko, Ignacy Potocki, Kołłątaj, Małachowski, Niemce-wicz, Wielhorski. Błąkali się ci dobrowolni wy-gnańcy po całej Europie, pozornie rozdzieleni, na chwilę jednak z oczu się nie tracąc. Można ich było widzieć w Rzymie, słuchających muzyki w ka-plicy Sykstyńskiej; w Neapolu, zapatrzonych na Wezuwiusz; w Lipsku, wmieszanych w między-narodowy tłum jarmarczny; w Dreźnie, zwiedzających muzea i galerye. Ale gdziekolwiek byli, serca ich wypełniał jeden tylko obraz: umierającej Matki, której pomoc nieść trzeba...

Co pewien czas skupiali się w jednym miejscu i radzili wspólnie nad tem: kiedy i w jaki sposób

przystąpić do zbrojnej insurekcji? Najzapaleńczy był Kollątaj, najruchliwszy Zajączek — ten sam Zajączek, którego we dwadzieścia lat później cesarz Aleksander I uczynić miał swym namiestnikiem w Królestwie Kongresowem...

Kościuszko — jak wszyscy naprawdę wielcy ludzie — przystępował do każdej sprawy z rozważą i niemal matematycznym (matematykiem był z wykształcenia i miłośnikiem matematyki) rachunkiem. Powściągał on zapal towarzyszków i raz dził jaknajdłużej zwlekać z wybuchem.

Ciekawe światło rzucają na te przygotowania „Pamiętniki“ Niemcewicza.

„Osiałem we Florencji — czytamy w nich — dokąd wkrótce przybył z Rzymu marszałek sejmowy Stanisław Małachowski. Smuciliśmy się i pocieszali nawzajem. Raz, gdym w wieczór przy lampie siedział u siebie i czytał, słyszę otwierające się drzwi, i te słowa po polsku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — jak się masz, braciszku?... Zdziwiony, patrzę pilniej i poznaję Jelskiego, kolegę mego na sejmie. Uściskaliśmy się serdecznie. — Cóż tu robisz? — Przyjechałem po was, po Kościuszkę i po ciebie — gotujemy się do rewolucji... Tu, gdym mu uczynił pytania o tych przygotowaniach, o liczbie wojska, zapasach pieniężnych, duchu publicznym — poznałem to, co i Zajączek: że więcej było zapалу, niż rzeczywistego przygotowania i nadziei, by się rzeczy udały. Nie zrażałem atoli gorliwości, i owszem zapewniłem, że za pierwszym wezwaniem władzy narodowej pospieszę najchętniej. Wkrótce przyjechał generał Kościuszko i udzielił mi wiadomości, jakie miał z kraju i z Lipska. Oświadczył mi, że na tak błahych, jak dotąd, podstawach, nie można budować; że smutno byłoby: lekko i nierozmyślnie zacząć, by upaść!“.

Widać stąd wyraźnie, że rewolucja była owocem niedojrzałym, że wybuchała zawcześnie... Nie było już wszakże w mocy ludzkiej powstrzymać jej.

Lawina toczyła się już po pochyłości.

Na prośbę Kościuszki, wyruszył do Warszawy w przebraniu Zajączek. Zlecono mu zbadać na miejscu stan umysłów. Po dziesięciodniowym pobycie nad Wisłą, wysłaniec powrócił i złożył raport — zgoła nie pocieszający.

— W kraju — mówił — wiele zapału, lecz mało środków. Powstanie włościan jest zaledwie prawdopodobne. Związkowi nie powzięli jeszcze określonego planu działania. Stosunki ich i wpływy są ograniczone. Największą siłą w insurekcji byłaby armja — dotąd wszakże udało się im pozyskać tylko Madalińskiego i kilku poważniejszych oficerów.

Zadano mu pytanie pierwszorzędnej wagi:

— Na jaką liczbę ludzi uzbrojonych można liczyć w chwili wybuchu powstania?

— Na cztery — najwyżej pięć tysięcy...

Nie można było z taką garstką przystępować nawet do miejscowej ograniczonej ruchawki.

Skutek wywiadów był taki, że Kościuszko polecił z „insurekcyą nie spieszyć — owszem odkładać ją możliwie najdłużej. Sam wyjechał do Włoch, Zajączka zaś powtórnie wyprawił do kraju, w celu kierowania ruchem przygotowawczym. Ostatni miał też wszelkimi siłami powstrzymać zapaleńców, aby niecierpliwością i zbytnim pośpiechem sprawy nie popsuli. Ta część zadania była dlań najtrudniejsza...

Igelström, choć na wszystkie strony wyteżał oczy i uszy (nadewszystko uszy), nie zdawał sobie dokładnej sprawy z położenia. Donoszono mu o spiskach, wskazywano nazwiska przewodców —

pociągał do tłumaczenia się nawet Kilińskiego i Zajączka, głównej wszakże nici pochwycić nie mógł. Jednocześnie, sam o tem nie wiedząc, pracował nad przyspieszeniem wybuchu.

Zapowiedziana redukcja wojska polskiego i wcielanie polaków do pułków rosyjskich wyczerpały cierpliwość narodu. Podobno Madalińskiemu, stojącemu pod Pułtuskiem, posłano rozkaz, aby natychmiast regiment swój rozpuścił, — on wówczas, zamiast łamać oręż, wolał wyszczerbić go na karkach niejrzyjaciół.

15 marca, zbiera całą brygadę, przeprowia się przez Bug i na czele siedmiuset jeźdźców rusza brzegiem kraju zabranego przez Prusy. Ciągnąc od miasta do miasta, rozbija po drodze w puch mniejsze oddziały pruskie, zabiera im broń, pieniądze i zwyciężkim pochodem zmierzają w stronę Krakowa.

Ten śmiały lecz ryzykowny krok Madalińskiego rozmaicie dziś tłumaczą i oceniają.

Według jednych, zasłużył się on sprawie ogólnej, dawszy jej energiczny *coup d'épaule*, który ociągających się zagnął do pośpiechu, a niezdecydowanych na stronę zamachu ostatecznie przeciągnął.

Według innych, swym niewczesnym pośpiechem pokrzyżował plany głównym organizatorom i samemu powstaniu niezmierną wyrządził szkodę.

Rozbierane jest zarazem pytanie: czy miał prawo i czy miał powody podjęcia akcji na własną rękę?

Prawa nie miał stanowczo, gdyż z punktu wojskowego, czyn jego był ciężkiem przestępstwem. Nie miał też i powodów, nie będąc zagrożonym redukcją swego oddziału, znajdującego się zdala od stolicy.

W takim razie działać musiał z czyjegoś wyz-

szego rozkazu. Z czyjego wszakże? Taki rozkaz mógł mu być dać jedynie Kościuszko, lecz dla Kościuszki improwizacja wojenna Madalińskiego była niespodzianką, i to niespodzianką, jak się zdaje, nie nazbyt przyjemną... Któż zatem rolę rozkazodawcy sobie przywłaszczył?

P. Waław Tokarz, autor świetnego studium p. t. „Warszawa przed wybuchem powstania 1794 roku“ twierdzi, że Madaliński „z całą pewnością otrzymał rozkazy skądinąd, mianowicie od organizacji warszawskiej, tracącej grunt pod nogami“, i — dodajmy — zamierzającej działać bez porozumienia się z Kościuszką, a nawet z pominięciem Kościuszki. Ta organizacja w której przeważał żywioł francuski, jakobiński, chciała rozpocząć rewolucję w Warszawie, i dać jej odrazu zabarwienie jaskrawo czerwone.

Cokońwiekbądź kości zostały rzucone...

Powstanie miało upatrzonego zawczasu woźdza: Kościuszkę. Czyż mógł być nim kto inny? Nikt nie stawiał „kandydatury“ tego męża, pierwszego wśród ówczesnych polaków; nikt go wyborom nie poddawał. W danej chwili cały naród zwrócił nań oczy i ręce do niego wyciągnął.

Wiadomość o wybuchu i wezwaniu do kraju zastały Kościuszkę w Dreźnie, gdzie po powrocie z Włoch przebywał. Choć nie na rękę mu był ten pośpiech, nie sprzeciwił się wezwaniu. Na rozprawy brakło już czasu — należało działać. Zaraz przeto, szablę przypasawszy i ryngraf z „Częstochowską“ zawiesiwszy na piersiach, do Krakowa ruszył.

W Krakowie, prócz wojska polskiego (około 400 żołnierzy piechoty), stał załogą garnizon rosyjski, liczący 500 ludzi. „Należało ich wyrznać lub wypędzić“ — pisze Zajączek. Uniknęli jednego i drugiego, sami się wynosząc.

Kościuszko, wybraniec narodu, doznał w grodzie pod wawelskim pełnego zapału przyjęcia. Jednomyślnie okrzyknięto go „naczelnikiem“, używając po raz pierwszy tego tytułu, znaczącego postawienie kogoś na czele narodu. Był to tytuł wysoki, odpowiadający „hetmanowi“ w dawnej Polsce, lub starożytnemu „dyktatorowi“.

Obywatele krakowscy, jako reprezentanci całego narodu, zaprzysięgli w Ratuszu posłuszeństwo obranemu zwierzchnikowi.

Po władzach cywilnych uczyniło toż samo wojsko.

Naczelnik, otoczony młodzieżą, udał się na Rynek, gdzie zebrały się zbrojne szeregi dla złożenia mu przysięgi. W tłumie roznoszono okrzyki: „Wiwat Kościuszkol“, „Za Prawa i Wolność!“, „Za Kraków i Ojczyznę!“, „Wolność lub śmierć!“.

W czasie wykonywania przysięgi, Kościuszko stał z głową odkrytą w miejscu, które upamiętniono później położeniem kamienia z odpowiednim napisem. Michał Stachowicz, naoczny tej uroczystości świadek, odrysował ją i w sztychu rozpowszechnił. Odbyła się ta uroczystość 24 marca 1794 roku.

Z kolei, złożył przysięgę i sam Kościuszko. Zapewnił w niej naród, że „władzy swej używać będzie jedynie dla obrony całości granic, odzyskania samowładności narodu i ugruntowania powszechnej wolności“.

W ręce naczelnika złożono władzę równającą się dyktatorskiej. Czasu trwania tej władzy jedni nie określali; ostrożniejsi dodali zastrzeżenie: „do czasu oswobodzenia Ojczyzny“.

Od tej chwili władza Stanisława Augusta, jako monarchy, ustawała. Był on już tylko cieniem króla — którym zresztą wcześniej już uczyniła go

Jekatieryna. Rządy nad Polską obejmował *de facto* Kościuszko.

Znaleźli się wówczas gorliwcy, w gorącej wodzie kąpani, a rządom Poniatowskiego nienawistni, którzy chcieli starego króla formalnie detronizować. Zamierzano znieważać go *in effigie* wyrzucając jego portret z sali ratuszowej i niszcząc cyfry na gmachach publicznych.

Jaknajenergiczniej oparł się temu Kościuszko.

Oświadczył publicznie, że uznaje w dalszym ciągu zwierzchnią władzę króla, że nic przeciw niemu czynić nie będzie i innym czynić nie pozwoli.

Jakże to znamienny i w swoim rodzaju jedyny rys duszy szlacheckiej, bez żadnych osobistych wyrachowań — owszem z zupełnym zapomnieniem o sobie — oddającej się Ojczyźnie!

W „deklaracji“, pokrytej niezliczonymi podpisami, określono wyraźnie cele powstania, czyli „insurekcji“. Były nimi:

uwolnienie Polski od obcego żołnierza;
przywrócenie i zabezpieczenie całości jej granic;

wytopienie wszelkiej pomocy i uzurpacji, tak obcej jak i domowej;

ugruntowanie wolności narodowej i niepodległości Rzeczypospolitej.

Na pieczęciach nowego rządu umieszczono trzy hasła:

Wolność — Całość — Niepodległość.

II.

Rewolucja polska 1794 roku posiadała znaczną wyższość nad innymi tego rodzaju ruchami: od początku stał na jej czele wódz — i to wódz gen-

jalny. Dało jej to jednolitość, której rewolucje następne nie miały. Od Kościuszki zaczyna się ta rewolucja, na Kościuszcze kończy; z zupełną też słusznością dają jej tytuł „Kościuszkowskiej“.

Pisano u nas o Kościuszcze bardzo wiele; powiedziano o nim zamało. Rzecz dziwna: do duszy bohaterskiego Polaka sięgnął najgłębiej Francuz.

Michelet, przyjaciel Mickiewicza, a przez Mickiewicza: Polski i Polaków, ze zdumiewającym jasnowidztwem odkrywa i tłumaczy sprężyny, poruszające sercem tego męża, w którym zjedoczyły się cudownie: rzymska *virtus*, chrześcijańska cnota i polski patryjotyzm.

Trzy pierwsze dzieła Kościuszki-naczelnika były — według Micheleta — „proste a wielkie, i zapowiadały w nim genjusz rewolucyjny, który by niezawodnie cel swój osiągnął, gdyby był lepiej wsparty przez okoliczności“. Oto te dzieła:

1° powołanie do broni wszystkiej młodzieży polskiej od 18 do 27 lat;

2° konfiskata dóbr zdrajców, którzy zaprzędali Ojczyznę (wartość tych dóbr wynosiła 400 milionów ówczesnych złotych polskich, czyli srebrnych florenów);

3° tkliwa odezwa do narodu, która musiała wzruszyć najsamolubniejsze nawet serca.

Miłość ludu wiejskiego, tak u Kościuszki wybitna, nie płynęła z wyrachowania politycznego, lecz była mu wrodzoną. Był demokratą w chrześcijańskim znaczeniu tego słowa, nie uznawał różnic stanowych — wszyscy ludzie braćmi mu byli.

Uczucie nienawiści było tak obce temu rycerzowi, Achillesom z męstwa, Bayardom ze wzniosłości równemu, że może nie doświadczał go nawet gdy walczył...

Natomiast nie był ani trochę „jakobinem“, jak to wówczas nazywano, a jakby powiedziano

dziś: socjalistą czy socjal-demokratą, to jest wogóle skrajnym rewolucjonistą. Nie nazywał też rozpoczętej przez siebie akcji rewolucją, dając jej miano „insurekcji“, to jest jakoby wskrzeszenia i podnoszenia z grobu obumarłego narodu.

Za jakobina uchodził, i dotąd, nie bez powodu, uchodzi Kołłątaj — Kościuszko jednak z Kołłątajem często różnił się w zdaniu. Gdy Kościuszko bratał się z ludem wiejskim, widząc w nim najzdrowszą część społeczeństwa i najdzielniejszy materiał do odbudowy Polski, do ulubieńców Kołłątaja należeli przedstawiciele miejskiego już nie ludu lecz motłochu. Wysłańcy jego kaptowali po szynkach i garkuchniach uciekających od pracy próżniaków i warcholów, przytakując im, gdy obrzucali wymysłami jasnych panów i grozili, że ich wszystkich, od króla zacząwszy różnąc będą.

Wiatr wiejący z Zachodu przynosił i do nas iskry i głównie ze wznieconego tam przez Wielką rewolucję pożaru. Obawy słabego lecz rozumnego Stanisława Augusta i ostrzeżenia, z jakimi publicznie do ludu się zwracał, nie były ani urojone, ani bezzasadne.

Z idei oparcia się na ludzie wiejskim wypływały dwa ważne fakty: dekret usamowolniający włościan oraz utworzenie słynnych, na zawsze w historii naszej upamiętnionych „kosynierów“.

Nie trzeba jednak tej chłopskiej improwizowanej ruchawki uważać za wynalazek Kościuszki i za rodzaj broni wyłącznie polski. Włościanie uzbrojeni w kosy wystąpili już wcześniej, w okresie rewolucji francuskiej, mianowicie w tak zwanej „chłopskiej rewolucji“ w Wandei — ale i oni pierwszymi na tem polu nie byli.

W dziele Frycza Modrzewskiego „O poprawie Rzeczypospolitej“, (przekład Bazylika) czytać można co następuje:

rzej uposażonym i najniezwyklejszym swym, ujawniło się już wcześniej, w niejednej okoliczności.

Zaraz po podpisaniu w obozie pod Sieciechowem prośby do króla o dymisję (30 lipca 1792 r.), gdy miał już wyruszać na emigrację, zapisał swą wieś Siechnowice swej niezamożnej siostrze, opatrząc zapis klauzulą dotyczącą włościan tamtejszych. Włościanie litewscy znajdowali się wówczas w stanie mało różniącym się od niewolnictwa — Kościuszkowski uczynił ich wolnymi. Przeciw temu jednak oponowało prawo obowiązujące, które zmuszało włościanina, nawet wbrew woli dziedzica, do odrabiania pańszczyzny. Aby zadość uczynić i prawu i sumieniowi swemu, naznaczył Kościuszkowski włościanom Siechnowickim pańszczyznę jaknajłżejszą.

Przy tej sposobności napisał do siostry:

„Trzeba pamiętać zawsze, że w naturze wszyscy wolnymi jesteśmy, że bogactwa i wiadomości czynią tylko różnicę, że powinniśmy mieć wzgląd na ubogich i oświecać niewiedomość, prowadząc do dobrych obyczajów“.

W tymże liście upominał swego siostrzeńca, będącego już ojcem rodziny, aby dzieciom dał „dobrą edukację republikańską, z cnotami: sprawiedliwości, uczciwości i honoru“.

Gdy bawił na emigracji, prznosił się z miejsca na miejsce, odnawiając dawne lub zawiązując nowe stosunki, nie spuszczać z oczu swego głównego celu: wynalezienia środków ratunku dla zagrożonej ojczyzny. Ta myśl zaprowadziła go i do Paryża. I on i przyjaciel jego Kollataj liczyli na to, że młoda Rzeczpospolita Francuska, tak wiele i głośno o wolności i braterstwie ludów rozprawiająca, poda rękę Polsce, rozszarpać jej nie pozwoli..

Zawiódł się.

We Francji rozpoczął się właśnie „straszny rok“. W chwili przybycia Kościuszki, gilotynowano tam króla i królową. Tak zwany „komitet ocalenia publicznego“ spełniał zbrodnię za zbrodnią. Krew lała się potokami. Marat'a zabijano w kąpielni. Jego zabójczynię ścinano...

Ze smutkiem i wstrętem odwrócił się od takich rządów i takiego społeczeństwa nasz bohater. Inaczej on pojmował „republikanizm!“ O innej przemyślał „rewolucji“!

Nie bez odcienia dumy oświadczał później, że w czasie pobytu w Paryżu „nie widział się wcale z Komitetem Ocalenia“. Wiadomo też skądinąd, że nie zbliżał się nawet do Kobespięre'a, Marat'a i Danton'a.

Tymczasem dzieło zniszczenia, prowadzone potajemnie w gabinetach Petersburga, Berlina i Wiednia, nowy cios wymierzyło Polsce:

W dniu 14 października 1792 r. został podpisany akt drugiego rozbioru!

Prusy przywłaszczyły sobie około tysiąca mil kwadratowych naszej ziemi z tysiącami mieszkańców. Kosja zagarniała przeszło cztery tysiące mil z trzema milionami mieszkańców.

Okrojonemu krajowi pozwolono jeszcze nazywać się Rzeczpospolitą Polską — wszakże cesarzowa Jekatieryna, poręczając pro forma niezawisłość Polski, dawała niedwuznacznie do zrozumienia, że przemyśliwa o trzecim rozbiore.

Rok 1794 zastał Kościuszkę w Lipsku, skąd przejechał później do Drezna.

Przed bohaterem otwierała się nowa, najpiękniejsza w jego zawodzie publicznym scena działania.

W jakim nastroju duszy na nią wstępował?

Niestety! pomimo wiewatów, pieśni, iluminacji, przysięg, dusza wodza była smętna...

Zdawał on sobie sprawę z niedostatecznego pogotowia kraju; wiedział, że zapal jego ziomeków bywa często ogniem słomianym—trwożyło go najbardziej zachowanie się szlachty, która była krzykliwa, a do czynu nieskora, chciwa zysku i samolubna. Porywczy Zajączek przedstawił ją może w barwach zbyt czarnych, ale i sędziowie najbezsronniejsi wiele zarzucić jej muszą.

Ostatni wzgląd sprawił, że postanowił przedsiębraną akcję orężną oprzeć głównie na ludzie wiejskim. Wypadki najbliższe okazały jak mądre było to wyrachowanie. Lud — i być może, iż tylko lud — bohatera nie zawiódł.

III.

Z rozpoczęciem akcji Kościuszko nie zwlekał. Był w równym stopniu mężny jak czuły, energiczny jak rozważny.

Cofnąć się nie było sposobu. Więc szedł na bój z podniesionem czołem, z nadstawioną pierśią. Życie swe cenił o tyle tylko, o ile mogło być użyteczne rodakom i sprawie narodowej.

Kawalerzyści Madalińskiego w liczbie pięćuset włączeni zostali do jego oddziału. W Krakowie wynalazł dwanaście armat. Z temi skromnemi siłami, ucałowawszy poświęcony ryngraf i znakiem krzyża pobłogosławiwszy hufiec swój i siebie, ruszył w pole.

Po drodze złączył się z nim oddział Manżeta, liczący 4 bataljony piechoty i regiment jazdy.

Ogółem „armja” powstańcza liczyła wówczas 3.090 żołnierzy pieszych i 1.000 kawalerzystów.

Te cyfry lekkoduch przeczyta z uśmiechem; człowiek poważny ze czcią. Polakowi od nich lży w oczach staną.

W trzecim dniu pochodu (3 kwietnia) pod sztandarami Kościuszki stanęli kosynierzy. Oczekiwali oni na swego ubóstwianego wodza w Koziuszach.

Było ich trzystu — tylko trzystu! — ale każdy był bohaterem.

W dniu 4 kwietnia przyciągnęli pod Raclawice.

W tymże dniu została stoczona słynna, wszystkim Polakom pamiętna i czarem poezji owiana: bitwa Raclawicka.

Uświetnił tą bitwę pięknym poematem Lenartowicz. Odtworzyli ją w obrazach: Matejko, Chęłmoński, Kossak, Styka. Utrwalono jej pamięć w wielu okolicznościowych piosenkach. Pod względem strategicznym, najdokładniej opisał ją Korzon. Zajączek dał jej obraz żywy, nastrojowy, na gorąco, *de visu*, skreślony.

Według Korzona, siły rosyjskie pod Raclawicami wynosiły 5.000 żołnierzy, którymi dowodził generał Denisow. Oddział Kościuszki był o cały tysiąc ludzi mniejszy. Wziąć też trzeba pod uwagę, że po stronie rosyjskiej znajdowało się wojsko regularne — po naszej przeważnie nowozaciężni, czyli tak zwana „ruchawka“.

Raclawice leżą w okolicy górzystej. Rosjanie zajęli tu pozycję bardzo mocną, na górze, posiadającą nader trudny przystęp. Kościuszko umieścił swe nieliczne siły na górze przeciwległej.

Zdecydowawszy się przyjąć bitwę, z własną sobie gienjalną przenikliwością rozpatrzył się w położeniu i ułożył pośpiesznie plan działania.

Przedewszystkiem na szanćkach kazał sypać baterje. Prawe jego skrzydło przypierało do głębokiego parowu. Skrzydło lewe było pozbawione wszelkiej naturalnej obrony. Jedyne od strony nieprzyjaciół zakrywał je niewielki, rzadki lasek.

Znajdowały się tu dwie kompanje piechoty i stu strzelców.

Z wybitniejszych oficerów miał Kościuszko przy sobie: Łajęczka, Madalińskiego i Manżeta.

Obie strony długo stały naprzeciw siebie bezczynnie.

Kościuszko nie chciał być pierwszym. To wpływało z całego charakteru insurekcji. Polacy nie byli napastnikami, lecz tylko broniącymi się.

Bój rozpoczął się o godzinie 3 z południa atakiem piechoty i artylerji rosyjskiej. Armaty Łajęczka powstrzymały Kosjan i do cofnięcia się zmusiły.

Potem prawa kolumna uszykowała się wprost naszego lewego skrzydła. Twardo w tym punkcie stała. Madaliński i Łajęczek kilkakrotnie na nią nacierając, byli odpierani.

Tymczasem przybył na pole sam Denisow. Dotąd zastępowany był przez Tormasowa, który zapewne chciał ubiedz generała w łatwym — jak mniemał — zwycięstwie. Rozbity poprzednio oddział rosyjski zaczął wydobywać się z fatalnego dłań parowu.

Kosjanie zaczęli formować swe szyki w sposób niepokojący.

Jednem spojrzeniem objął i przeniknął ich plany Naczelnik. I wydał natychmiast nowe, energiczne zarządzenia.

— Jedna kompanja zostanie w miejscu, żeby stanowić punkt zborny na wypadek odparcia ataku.

...Jedna kompanja i jazda wzbrowną nieprzyjacielowi połączyć się z kolumną stojącą za lasem.

...Do ataku pójdą: brygadjer Manżet z dwiema kompanjami, które uderzą bagnetem na piechotę nieprzyjacielską.

...Milicja krakowska, uzbrojona w kosy, zdobędzie baterję rosyjską.

...Kanitan Nidecki z dwiema kompanjami będzie posiłkował milicję.

W tej to właśnie chwili odbył się pierwszy, a wiekopomny i tryumfalny występ słynnych kosynierów. Mówi o nim Zajęczek stylem lapidarnym:

„Środkowa kolumna rosyjska, która dotychczas została rozwinięta, w jednymże czasie była atakowana, złamaną i rozbitą“.

Teodor Glinka, pisarz rosyjski, określa ów atak pięknym i trafnym porównaniem:

„Z garstką wieśniaków, prawych ojczyzn synów, szlachetnym gniewem rozplomieniony, rzucił się Kościuszko, jak potok górski, przyborem wiosennym spieniony“...

U Korzona znajdziemy następujący opis tego ataku siermiężnych bohaterów, godnego stanąć obok szarzy ułanów polskich pod Sammo-Sierra:

„Wydawszy krótkie, a trafne rozkazy, Kościuszko poskoczył za pagórek do gromady chłopów krakusów, i zawołał:

— Zabrać mi, chłopcy, te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód, wiara!

Ruszyli natychmiast pedem, z krzykiem przerażającym, i biegnąc, nawoływali się wciąż:

— Szymku, Maćku, Bartku, a dalej!

Towarzyszył im konno Kościuszko, zagrzewając słowy i gestami.

Zdobyli naprzód trzy armaty dwunastofuntowe; potem ściana uderzyła na grenadierów rosyjskich, w czem dopomógł im półbataljon swymi bagnetami.

Wkrótce napełnili trupami rów wielki i długi, wzdłuż lasu ciągnący się.

Zabrali jeszcze pięć armat cięższego i trzy lżejszego kalibru.

Nie rozumiejąc wyrazu *pardon*, na śmierć bili“.

W tym brawurowym ataku, największym zuchem okazał się Bartosz Głowacki. Ten, widząc wymierzone na siebie działo i kanoniera, lont przykładającego, zrywa lewą ręką magierkę i zapal nią gasi, a prawą, uzbrojoną w kosę, kładzie trupem kanoniera. Zrobiwszy to, siada na armatę, jak na konia, a „wiara“ przytacza go tryumfalnie przed oblicze Kościuszki.

Pomagał mu w tem kmostr Świstacki, z jednej z nim wioski gospodarz.

Przy tym bohaterskim, lecz z punktu wojskowego zbyt ryzykownym ataku, zadziwia wyjątkowo i prawdziwie cudownie mała liczba ofiar.

Pobiegło na pewną śmierć trzystu dwudziestu — poległo zaledwie trzynastu.

Bitwa skończyła się zupełną porażką Rosjan, którzy uciekli w popłochu. Zabito im około tysiąca ludzi (niektórzy liczą, razem z ranionymi, dwa tysiące); zabrano dwanaście armat.

Nasze straty Zajączek podaje na stu pięćdziesięciu, Kościuszko na stu ludzi.

Głowacki, główny bohater Raclawicki, zaraz na polu bitwy otrzymał od Naczelnika rangę oficerską i krzyżyk złoty.

Spotkać go miała później nagroda większa jeszcze. Nazwisko jego przeszło do potomnych — w pieśni. Jeden z pieśniarzy, obok nazwiska Głowackiego postawił nazwisko jego kmostra.

Komu Pan Bóg błogosławi,

Temu się i wiedzie:

Idzie sobie Stach Świstacki,

A Głowacki — jedzie.

Jedzie, jedzie na armacie,

Na smoku mosiężnym;

Czapką wiewa, a lud śpiewa
Głosem tak potężnym,
Jak na wiosnę się przewala
Fala rozdaśana: —
Danaż moja, dana, dana,
Ojczyzno kochana.

Zwycięstwo Raclawickie chwałą wiekopomną
okryło dzielny lud polski.

Odtąd zrozumiano w kraju, że tylko na tej
opoce budować można trwałą gmach przyszłości
narodowej.

IV.

A cóż w tym czasie działo się w sercu Polski:
w Warszawie?

Gdy Kraków rozwijał i wysoko podniósł
sztandar powstania narodowego, Warszawa, krę-
powana obecnością króla należącego oficjalnie do
Targowicy, a jednocześnie przydużana żelazną
dłonią Igelströma, coraz zuchwalej i despotyczniej
poczynającego sobie w cudzym kraju. — siedzia-
ła cicho, jakby w niej wszelkie życie zamarło i bier-
na zapanowała rezygnacja.

Ta cisza i ta rezygnacja były tylko pozorne.

Pomimo, że Igelström opasał potrójnym łań-
cuchem wojska, rozstawiał strażę na gościńcach
idących z Krakowa, i na wszelki sposób starał się
zasłaniać oczy i zatykać uszy mieszkańcom stolicy
— „dobra nowina“ na skrzydłach wiatru doleciała
do grodu Mazowieckiego, i zbudziła zapal niez-
opisany.

Zapal musiano ukrywać przed zgrają szpie-
gów, którzy kręcili się po mieście, podpatrując,
podśluchując, a potem składając raporty ambasa-
dorowi rosyjskiemu, który, bez udziału sędziów

krajowych, więził i męczył podejrzanych. Podziemia pałacu Igelströma przy ulicy Miodowej oraz oddzielny w obszernym dziedzińcu budynek murowany z głębokimi piwnicami, zapełniały się „przestępcami“, którzy ośmielili się źle mówić i myśleć o rządzie rosyjskim i nie oddawać należytej czołobitności Wielkiej Jekatierynie.

„Od końca lutego — pisze p. Tokarz we wspomnianem już dziele — ulice Warszawy przedstawiały dziwny widok. Już przy bramach miejskich stały posterunki rosyjskie, zatrzymujące przechodniów i poddające ich rewizji. Minęły już te czasy, gdy to warty rosyjskie stały na ulicach Warszawy bez broni, przepuszczając grzecznie przechodniów, a nawet znosząc ich docinki i napaści, byleby udowodnić, że spełniają tu misję przyjacielską“...

Patryotyzm, nie mogąc ujawniać się na zewnątrz, zapadał w głębie i tam wrzał, nakształt lawy, nurtującej wewnątrz wulkanu. Chwilami wulkan dymił — co Igelströma oraz sforę jego zauszników o niepokój i lęk przyprawiało. Aresztowania odbywały się coraz tłumniej lecz i coraz nie dbalej, piwnice na Miodowej liczyły coraz więcej gości — główni jednak sprawcy niepokojów wymykali się przez oka gęstej sieci, którą opasała Warszawę „opieka“ rosyjska.

W gazetach publiczność wyczytywała „między wierszami“ rzeczy ważne, ciekawe i pocieszające, których sensu gruboskórny ambasador domacać się nie mógł. W teatrze, Bogusławski w swych, zaraz po Raclawicach wystawionych „Krakowiakach i Góralach“, kładł w usta Bardosa, „wędrownego studenta“ piosenki pełne znaczenia, z przejrzystą do stosunków politycznych aluzją. Wreszcie drażniono się Igelströmem za pomocą „przylepianych po rogach ulic kartelu-

szów“: w których „ważono się zagrażać poświęca-
nej Króla osobie, równie jak i Ministrowi Najja-
śniejszej Imperatorowej Jejmości, tudzież innym
osobom akredytowanym“. Skarżył się na to sam
Igelström w nocy do Rady Nieustającej.

Nader mało tych „karteluszków“ i druków ulo-
tnych do nas doszło. Musiały być ciekawe i obfi-
cie solą atycką zaprawione. Nie zbywało na tej za-
prawie ówczesnym satyrykom warszawskim, na
których czele stał znakomity Franciszek Zabłocki.

Oto próba tej literatury „podziemnej“, którą
dorywczo i pod strachem wielkim zapisywały
współczesne *silva—rerum*. Wysztychano w niej ob-
łudę Rosji, która rzekomo broniła w Polsce wol-
ności i niepodległości, zagrożonych przez... ustawę
3-go maja.

Wolność i niepodległość! — a jej naczelnicy
Słuchać muszą rozkazów ościennej stolicy.

Wolność i niepodległość! — a gdzie naród radzi,
Obce wojsko brzmi w surmy i warty prowadzi.

Wolność i niepodległość! — a zamiast ich nrawa,
Król niczem, naród shańbion i w więzach Warszawa.

Wolność i niepodległość—a lud, z chat wygnany,
Wydartą dzieciom strawa żywi swe tyrany,

Wolność i niepodległość! przy szlachcie i wierze,
A szlachta w tej wolności batogami bierze.

Wolność i niepodległość! Polska ocalała!
Bodajby taka wolność nigdy nie powstała!

Najczynniejszymi agitatorami rewolucyjny-
mi byli w Warszawie: szewc Kiliński, rzeźnik Sie-
rakowski i bankier Kapostas. Ci trzej przewodcy
już od dłuższego czasu utrzymywali stosunki ta-
jemne z rządem rewolucyjnym, którego wysłańca,
Zajączka, kilkakrotnie u siebie ugaszczali. I oni
zresztą starali się odsunąć najdalej możliwie wy-
buch rewolucji — z chwilą wszakże wystąpienia
Kościuszki stało się to prawie niemożliwym.

Chodziło teraz już o termin rozpoczęcia akcji. Ten termin wskazał spiskowcom — Igelström. Pełnomocnikowi rosyjskiemu przypadło w udziale: przyłożyć lont do działa, wymierzonego przeciw Rosjanom...

Ilgeström był nie tylko wrogiem Polaków: był on także nieprzyjacielem — nieświadomym zresztą — reprezentowanego przez siebie państwa. Nawet rodacy jego (Pistor i inni) nie wyrażają się o nim pochlebnie.

Michał Ogiński (*Mémoires*) nie waha się twierdzić, że Igelström był głównym sprawcą rzezi warszawskiej... Przytacza czyjeś zdanie, że za rządów jego poprzednika, Siewersa, nigdy-by do wybuchu rewolucyjnego w formie tak ostrej nie doszło... „Jakkolwiek było — pisze — pełnomocnik rosyjski zrobił wszystko, co zrobić należało, aby Polaków zniecierpliwic, rozdrażnic i prześladowaniem do wybuchu rozpaczy doprowadzić“...

Był kwiecień. Rozkwitła wiosna, nadchodziły uroczyste Święta Wielkanocne. Lud warszawski poweselał na duchu — dawno niewidziany promień radości i nadziei opromieniał twarze, błyszczał w spojrzeniach...

Puszczyka, gnieźdzącego się w obstawionym armatami pałacu przy ulicy Miodowej, razilo to światło.

Posel rosyjski rozmyślał nad tem: jak i czem tę wesołość zmrozić, te błyski w oczach zgasić, te uśmiechy w kurcz zmienić bolesny. Na własną (godzi się przypuszczać) rękę, wypracował plan zamachu, który miał mieszkańców Warszawy przybić do ziemi wpieryw, zanim-by głowy podnieść się ośmielili.

W sam Wielki Piątek załoga polska miała być znieienacka napadnięta i rozbrojona, arsenał zajęty

i wojskiem rosyjskiem obsadzony. Aby zapobiedz interwencji ludu, miano go osaczyć i uwięzić w kościołach, gdzie zgromadzi się na doroczny obchód „grobow”.

Opowiada o tem wymownie Kiliński w swych bezstyłowych a często i nieortograficznych Pamiętnikach, które jednak pod względem żywości opowiadania i plastyki obrazów bywają często niezrównane.

„Udręczenie — mówi — przymusiło każdego obywatela do prędkiego zaczęcia rewolucji, bo nam pogrożki od moskali czyniły wielką niespokojność, grożąc nam zawsze temi słowy: że gdy Polaki będą otrzymywać zwycięstwo, to się już w Warszawie utrzymać nie będą mogli. To nam deklarowali naprzód nas zrabować, a potem od końca do końca mieli nam Warszawę zapalić i arsenał nam cały zabrać mieli, aby się Polaki nie mieli czem bronić. Później jeszcze nam bardziej grozili, bo gdy obywatele przysposobiali się na Święta Wielkanocne w szynki, to nam moskale perswadowali, abyśmy ich nie kupowali, powiadając nam, że z nas samych na Wielkanoc zrobią szynki. Więc pytam się tu każdego, niech mi odpowie, jeżeli te pogrożby dla nas obywateli nie były dosyć okropne, czyniąc z nas, niewinnych ludzi, tak wielkie urąganie, na któreśmy moskalom nie zasłużyli?”...

Gdy dzięki gadulstwu jednego z oficerów rosyjskich, umyślnie „likierem” podpoionych, ohydny plan doszedł do wiadomości Kilińskiego, nie było czasu do stracenia, natychmiast działać należało.

Uruchomiono oddziały sprzymierzeńców, każdemu rolę właściwą wyznaczając.

Zabezpieczając arsenał od niespodzianego napadu umieszczono w nim potajemnie oddział ar-

tylerji. Kiliński, który już potrafił zgromadzić zapas broni siecznej oraz pistoletów i amunicji. uzbroił kilkuset szewców, krawców i rzeźników, i ukrył ten hufiec ochronny w swej kamienicze na Szerokim Dunaju (nr. hipot. 145).

Postanowiono przystąpić do dzieła w nocy z Wielkiej Środy na Czwartek.

Znak rozpoczęcia miał dać wvstrzał.

Pomimo, że — według Kilińskiego — Igelström w samej Warszawie „miał z okładem pięćset szpiegów, którzy pocziwch i dobrze myślcych patriotów zdradzali“ (byli nimi niemal wyłącznie żydzi) plan i termin sprzysiężenia do samego końca zostały utrzymane w tajemnicy przed Rosjanami.

Gdy nadeszła owa noc pamiętna, wszystkie przygotowania były ukończone, armaty w porządku, kanonierzy przy nich z lontami, konie osiodłane, wozy prochowe wytoczone — czekano tylko na Kilińskiego z jego „dziećmi Warszawy“.

Ale minęła północ. przeszła godzina pierwsza i druga po północy — Kiliński nie zjawił się.

Trwoga i niepokój nurtować zaczęły serca spiskowch.

Powiększały obawę krążące miedzy spiskowymi — a pono i uzasadnione — wieści, że o przygotowaniach do rewolucji dowiedział się król. który ze zwykłą sobie słabością charakteru i uległością dla Rosjan, przesłał o tem raport na ulicę Miódowa...

Już szarzało; już w niepewnem świetle przedświtu można było rozeznawać przedmioty, a hasło nie dawało się s.yszeć.

Patrol ułanów królewskich, obcy, jak się zdaje, sprzymierzeniu, objeżdżał ulice. Spoztrzeza on nagle oficera rosyjskiego pędzącego wyciągniętym galopem. Na wołanie: „Stój! kto jesteś?“ ofi-

cer nie zatrzymuje się i pędzi dalej co koń wykoczy.

Patrol daje ognia.

Ten wystrzał nieobjęty programem, staje się hasłem wybuchu. Powstańcy nacierają na postęrunki rosyjskie.

Pierwsze natarcie wyszło z koszar Mirowskich. Ofiarą jego padła warta na odwachu za Żelazną Bramą, przy ogrodzie Saskim.

W różnych punktach miasta rozlegają się strzały armatnie. Bramą Krakowską wypada ze Starego Miasta tłum szewców z szablami, gromada rzeźników z toporami. Śpieszą wszyscy do Arsenалу. Jenerał Cichowski rozdaje broń i naboje. Uzbrojeni, zwartym choć bezładnym hufcem pędzą na Miodową, gdzie mieszka znieawidzony przez wszystkich Igelström.

Rozwidnia się. Tu i owdzie oddziały rosyjskie występują na ulicę. Wysłańcy Kilińskiego uderzają w dzwony we wszystkich kościołach. Lud wysypuje się zewsząd. Ostrożniejsi, uchyliwszy okien, czają się przy nich z palcem na cynglu. Już zaczęły się utarczki. Słychać strzały pistoletowe i karabinowe. Mięsza się do nich co chwil parę grzmot armatni. Wojsko rosyjskie, prawie wszędzie pokonane, rzuca broń, ucieka w popłochu. Galopują adjutanci. Najwięcej ich między kwartę posła rosyjskiego i Zamkiem Królewskim. Stanisław August, trzęsący się od strachu, rozfrzowany, bez pudru na włosach i na twarzy, upewnia przewodców ruchu poblądłemi usty: „Ja wasz!... Ja z wami!“... Jednocześnie śle jenerała Byszewskiego do Igelströma z radą przyjazną, aby kazał wojsku swemu broń złożyć i ustąpił wraz z niem z Warszawy, to — nieszczęścia uniknie. Posel, dla dokładniejszego omówienia sprawy, posyła swego siostrzeńca, majora Igelströma. Pędzą

cego do Zamku młodzieńca kula powstańcza trupem kładzie. Układy zerwane.

Krew leje się obficie. Padają od kul generałowie rosyjscy: Miłaszczyc i Gagaryn. W ciasnej uliczce Koziej pospólstwo zatrzymuje i uśmierca spieszącego z depeszą adjutanta. Sypią się strzały z okien, z dachów, Pałac Igelströma atakuje wojsko i tłum od Miodowej i od Podwała. Obie ulice są zapchane piechotą i artylerją. Nasi próbują posyłać tam kule armatnie z ukosa, z pod Bramy Krakowskiej i z „dziedzińca pałacu Rzeczypospolitej“ (dziś pałac Krasiński). Rosyjskim artylerzystom zaczyna braknąć amunicji. Igelström każe otwierać skrzynie z monetą miedzianą i nabijać działa olbrzymimi pięciokopiejkówkami z cyfrą Katarzyny II-ej. Powstańcy wdarli się tyłami, przez ogród Kapucyński do pałacu Teppera (dziś dom Grabowskich na Miodowej) — z okien sypią grad kul na na dom posła i na wojsko, stłoczone w ulicy. Żołnierzy rosyjskich ogarnia panika. „Lachy“ nabierają w ich oczach pozoru istot nadprzyrodzonych: czarowników czy demonów. Nie śmiają rejterować bez rozkazu, ale drętwieją. Oficerowie każą przetaczać działa o kilkanaście kroków dalej — oni nie ruszają się z miejsca. Grożą im śmiercią za nieposłuszeństwo, do głów przykładając pistolety — oni stoją, jak wryci.

Bój najbardziej zażarty toczy się na placu pomiędzy kościołem Św. Krzyża, kościołem Dominikanów Obserwantów (później dom Staszica, Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Akademia Medycy i Chirurgiczna, dziś — gimnazjum I-sze i cerkiew prawosławna) i Szkoła Kadetów (dziś dom zwany Karasia). Istna kotłownia, dla oddziału rosyjskiego fatalna. Nasze wojsko i lud uzbrojony naciera ją nań ze wszystkich przyległych ulic: Nowego Świata, Świętokrzyskiej, Oboźnej, Aleksandrji,

Biernackiej (dziś nieistniejącej). Padają też gęste strzały z okien, a ochotnicy, wdarłszy się na wieże kościołów: Dominikańskiego i Świętokrzyskiego, miecą stamtąd kule i kamienie. W tym miejscu padło najwięcej rosyjskich żołnierzy; tu również otrzymali śmiertelne rany dwaj, wyżej wspomniani, generałowie...

Przed Bogiem, potomnością i własnym narodem, ty za to odpowiadasz, Igelströmie! Zresztą à la guerre comme à la guerre—a Zajączek z zupełną słusnością zauważa, że w owej chwili wojna już od trzech tygodni była wypowiedziana i zaczęta, że siły rosyjskie znajdowały się w liczbie prze-
możnej (10000 wojska regularnego na 2000 naszej wojskowej załogi!) — że nawet akcję orężną już o białym dniu rozpoczęto.

Pałac posła rosyjskiego, w fortecę zmieniony, przez dwa dni wytrzymywał przerywane ataki. Wreszcie w Wielki Piątek wieczorem, Igelström zrozumiał, że jedynym dla niego ratunkiem—ucieczka. Pali przeto w pośpiechu najtajniejsze tylko papiery, wydaje rozkaz, żeby więźniów polskich, znajdujących się w podziemiach, pozabijano, i bocznem wyjściem (niektórzy twierdzą, że przez dach) wymyka się z adjutantami do sąsiedniego domu. Stamtąd, otoczony wojskiem, cofa się na dziedziniec „Pałacu Rzeczypospolitej“ (dziś pałac Krasińskich), który wówczas był opasany murem i miał bramy obronne. Bramy zamyka, wywiesza białą chorągiew — rozpoczyna układy o kapitulację...

Był to tylko manewr, maskujący rejteradę. Zaledwie zaprzestano ze strony powstańców strzelać, ambasador rzuca się do ucieczki i najciaśniej szymi zaułkami próbuje się wydostać z miasta.

Po drodze nasze wojsko i ochotnicy dziesiątkują mu żołnierzy, zabijają oficerów. Pędząc na

oślepię, wślacza się w uliczkę Koźłą (na Nowem Mieście) która wówczas nie miała wyjścia, i widzi się uwięzionym w niej, niby rak w więciorku. Żołnierze rozbierać muszą jakiś dworek drewniany, żeby otworzyć sobie przejście na Franciszkańską. Tam znów sypią się na nich kule, pod których grudem biegnie spłoszony oddział ulicą Zakroczymską, wypada wreszcie w pole i—oddaje się w opiekę stojącym pod Warszawą Prusakom.

Przy Igelströmie uszło żywcem z miasta zaledwie dwustu kilkudziesięciu Rosjan. Znaczniejsza ich liczba uciekła za Wisłę i rozproszyła się po okolicy. W Warszawie pozostało około 3.000 zabitych i około 5.000 wziętych do niewoli. Pozostały też 42 działa zabrane, prócz innej broni i amunicji oraz całego skarbcza rosyjskiego w pałacu poselstwa i ważnych papierów w jego kancelarji.

Oficer, któremu kazano zamordować więźniów, rozkazu nie spełnił. Szlachetnemu człowiekowi lud wyprawił owację. Z podziemi wyprowadzono, między innymi: Węgierskiego (nie poetę, który już nie żył) i młodego Potockiego. W kasie rosyjskiej znaleziono blisko 100.000 dukatów w złocie. Lud warszawski odniósł ten cały skarb rządowi narodowemu. W zabranych papierach znalazła się lista zdrajców, pozostających na żołdzie rosyjskim. Posłużyła ona za *corpus delicti* przy sądzeniu ich i karaniu.

Z uwięzionymi obchodzono się jaknajłagodniej. „Prześladowcy nasi — mówi Zajączek — nie mieli prawa spodziewać się tego, ale wspaniałość myślności jest jedną z własności charakteru polskiego narodu“. Według Niemcewicza, jeńcy rosyjscy byli utrzymywani z największemi wygodami, a nawet ze zbytkiem — kosztem publicznym.

Niektórzy pisarze rosyjscy przyrównywali kwietniową insurekcję warszawską do paryskiej

rzezi Świętego Bartłomieja, i twierdzili, że późniejsze pastwienie się Suworowa nad bezbronnymi mieszkańcami Pragi było słusznym za nią odwetem.

Jest to fałsz, niegodny sumiennych historyków i uczciwych ludzi.

Już Zajączek przytoczył argumenty, unicestwiający ów fałsz i stwierdzający jego lichą, naciągana sofistykę.

W chwili, gdy przyszło do starcia i wojna była już od trzech tygodni wypowiedziana — jeśli zatem owemu wybuchowi orężnemu można dać miano „zasadki“ we wszelkich działaniach wojennych wielką a uprawnioną odgrywającą rolę, to żadną miarą nie wolno nazywać jej skrytobójstwem.

Następnie, nie była to walka z ludźmi bezbronnymi, lecz z regularnem, doskonale uzbrojonym wojskiem, które w dodatku samą już ilością znacznie siły powstańców przewyższało. Wszakże tego wojska było aż dziesięć tysięcy, załoga zaś polska zaledwie dwa tysiące liczyła!

Wreszcie i to wziąć trzeba pod uwagę, że do akcji wojennej, nie w nocy, lecz już o białym dniu przystąpiono.

Miasto odetchnęło swobodniej. Ustanowiono natychmiast Radę nadzwyczajną, zastępczą, która miała zarządzać sprawami cywilnymi i wojskowymi aż do przybycia Kościuszki. Potwierdzono i umocniono wszystkie prawa, zapewnione narodowi konstytucją 3 maja. Ignacy Zakrzewski, zwany „kochankiem ludu“, został przywrócony na stanowisko prezydenta. Komendantem miasta mianowano Mokronowskiego.

Warszawa obchodziła święta Wielkanocne wesoło, pełna otuchy i nadziei. Otucha zawsze potrzebna i właściwa — ale nadzieja na zbyt słabych opierała się podstawach...

IV.

Płomień rewolucji obejmował szybko wszystkie dzielnice Rzeczypospolitej. Tryumfy Madalińskiego, Kościuszki, Kilińskiego pokrzepiały ducha, budziły zapal i energję.

W połowie kwietnia wybuchło powstanie na Żmudzi. Pierwszymi, co podnieśli sztandar insurrekcji byli: Zawisza Piotr, Giedrońc Romuald, Niesiołowski i Prozor Antoni. Na usługi sprawy narodowej oddał się oddział wojska polskiego, stojący w Szawlach, pod dowództwem Kazimierza Sulistrowskiego.

W kilka dni później powstało Wilno.

W ostatniem mieście poszło naszym łatwiej, niż sądzili, i niż można było spodziewać się po niefortunnym początku.

Załogą rosyjską dowodził tam generał Arseniew, mający pod sobą dwa pułki piechoty, bataljon strzelców, pułk dońskich kozaków, cztery roty artylerji i dziewiętnaście armat. Na krótko przed wybuchem, o przygotowaniach dowiedział się i dowódcę zawiadomił jeden ze szpiegów wojskowych. Ale zaufany w swe siły generał zbył tę wiadomość lekceważącym uśmiechem...

Lekceważenie okazało się nieuzasadnionem. W kilkanaście godzin później, Arseniew znalazł się już w ręku powstańców jako jeńiec. Jednak, że to był człowiek dobry, zamknięto go tylko w Arsenale i obchodzono się z nim jaknajłagodniej.

Siły wojenne polskie nie były w Wilnie ani liczne, ani doborowe. Składały się z trzech rot piechoty, z artylerji dwóch pułków, z dwóch szwadronów Tatarów i ze świeżo przybyłego pułku jazdy.

W drugie święto Wielkiej Nocy (którą obcho-

dzono na Litwie według kalendarza st. stylu), o godzinie pół do pierwszej w nocy, szybko i zniemaka napadnięto niespodziewających się niczego Rosjan. Nawet nie wystrzeliwszy ani razu, opanowano Arsenal, zabierając znajdujące się w nim działa. Prócz Arseniewa, wzięci zostali do niewoli oficerowie sztabowi: pułkownik Jazykow, komendant Rebok i inni.

Akcję powstańczą prowadził Jakób Jasiński, podpułkownik inżynierów. Jego też, zaraz po zwycięstwie, mianowano gubernatorem miasta.

Znienawidzony przez patryotów hetman Kossakowski, drżąc o własną skórę usiłował fali rewolucyjnej położyć tamę. Załozce wojskowej, która strzegła jego pałacu, strzelać kazał do powstańców — sam zaś sromotnie na strych umknął. Znalezione go tam, związane i za miasto na sznurku wywleczone. O wczesnym ranku, „sąd gorący“ za liczne, dowiedzione zdrady na śmierć go skazał. Wyrok natychmiast wykonano.

Los Kossakowskiego podzielił Świejkowski.

Artylerja rosyjska, wydostawszy się z miasta, zaczęła je bombardować. Domy na przedmieściach już się ogniem zajmowały, pożoga całemu Wilnu groziła. Wówczas ucziwy generał Arseniew, już więźniem powstańców będący, dał rozkaz zaprzestania kanonady.

Wilno ocalało.

Sąd nad zdrajcami Ojczyzny, spełniony w Wilnie, powtórzyła u siebie Warszawa. Było tu kilku dygnitarzy, których zdrada, nie ulegała wątpliwości. Należeli do nich: biskup Kossakowski (brat hetmana), hetman Ożarowski, Ankwicz, Zabiello. Lud wzburzony, roznamiętniony, domagał się hałaśliwie sądu na nich i kary. Najzapaleńsi, podnieceni przez dwóch czerwonych wyborców, krzyczeli:

— Wieszać!

Na Ratuszu Starej Warszawy zebrała się rada. Położenie było groźne. Lud, przez noc całą obchodząc ulice z krzykami, nęgrózkami, otaczał Ratusz, domagając się wydania więźniów. Urągano Radzie, wołano, że „zaufanie ludu zdradza”. Nakoniec gromada rozjuszonych szaleńców, z namiętnościami, pistoletami, mając na czele „trybunów”, wdarła się do sali posiedzeń.

Wobec gwałtu, członkowie Rady oświadczyli, że składają urzędy ale, donóki nie opuścą swych miejsc, nie pozwolą na obydne, ludzkim i boskim prawom urągające morderstwa.

Onamietali się chwilowo i na sąd zgodzili.

Sprowadzono więźniów. Sędziowie, bez straty czasu, do dzieła przystąpili.

Nie dało się, niestety, wyszukać okoliczności łagodzących. Wszyscy zostali skazani na pozbawienie praw i na śmierć przez powieszenie...

Ludowi zamało było tych ofiar — sięgał no inne. Połączonym zabiegom króla, Kościuszki, prezydenta Zakrzewskiego i innych dobrych ludzi, z trudnością udało się wyrwać ich z rąk popleczników.

Tamci wszyscy zostali powieszani na placach publicznych, o godzinie 4 po południu. Ciało ich nie zdejmowano aż do nocy.

Najwinniejsi: hetman Branicki, Szczęsny Potocki i Rzewuski wynieśli się zawczasu zagranicę.

Osadzono ich zaocznie na śmierć, a kat powiesił na szubienicy ich portrety.

Kraszewski („Polska w czasie trzech rozbiorów“) mówi o tem ze smutkiem:

„Dnie takie trwałe po sobie zostawiają ślady; wlewają jąd w serca: budzą namiętności; oswajają z widokiem śmierci. Biada tym, co w takich środkach szukają dla kraju ratunku: więcej traci na-

ród, upodlając się okrucieństwem, niż zyskuje na teroryzmie“.

Tymczasem na polu walki była cisza. Akcja wojenna słabo się rozwijała. Kościuszko napotykał nieprzewidziane trudności w formowaniu wojska, w uzbrajaniu wieśniaków.

Genjalny umysł Kościuszki dostrzegł rażącą i wstydzącą sprzeczność, jaka zachodziła pomiędzy hasłem toczącej się walki a wewnętrznymi stosunkami kraju. Naród powstał, aby bić się za „wolność“, tymczasem sam trzymał najliczniejszą a upośledzoną klasę ludności w niewoli. Ówczesny stosunek „dziedzica“ do „poddanych“ niewiele się różnił od stosunku plantatora do niewolników...

Naczelnik, który, jak mówiliśmy, postanowił z ludu wieśniaczego uczynić główną siłę w podjętych zapasach. umyślił ów hańbiący stosunek zmienić i zetrzeć ze szlachty polskiej plamę, którą wrogowie dostrzegali i szydząc wytykali palcami.

Owoce tych myśli był sławny „Uniwersał Połaniecki“, to jest odezwa do narodu, a przede wszystkim do szlachty polskiej wydana w dniu 7 maja 1794 roku w obozie pod Połańcem. Całkowity jej tytuł brzmiał: „Uniwersał urządzający powinności gruntowe włościan i zapewniający dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwość“.

Zapisany w tym miejscu, że to był pierwszy w Europie akt, w tym duchu wydany i w tak szerokim zakresie liberalny. Składał się z czternastu paragrafów. Paragraf drugi opiewał:

„Osoba każdego włościanina jest wolna“.

Inne paragrafy określały szczegółowo stosunek włościan do „panów“ i groziły surowymi karami podstarościm, ekonomom i komisarzom, którzyby „wykraczając przeciwko niniejszemu rozporządzeniu, czynili jakowe uciążliwości ludowi“.

Paragraf 8 zwracał się odważnie przeciw klasie uprzywilejowanej panującej. Brzmiał on: „Gdyby dziedzice (czego się nie spodziewam) nakazywali lub popełniali podobne uciski, jako przeciwni celowi powstania, do odpowiedzialności pościągnięci będą“.

Niestety, uniwersał nie przyniósł spodziewanych korzyści. Jeszcze naród nie dojrzał do tego ustroju idealnego, o jakim marzył wielki, wyprzedzający swój czas obywatel.

Szlachta oburzyła się na śmiałka, co odważył się targnąć na jej przywileje. Czyniła mu odtąd utrudnienia. Zdarzało się, że włościanom chcącym zaciągnąć się do szeregów powstańczych przemocą tego wzbraniano. Pewnym dziedzicom w głowach pomieścić się nie mogło, że ktoś śmie rozporządzać ich „własnością“.

V.

Dopiero w czerwcu przyszło do większej, a na nieszczęście, niepomysłanej bitwy pod Szczekocinami. Ta bitwa odsłoniła ukryte dotąd atuty przeciwnika.

Kościuszko przybył w to miejsce, ścigając ustępujący rzekomo korpus Denisowa. Był dobrej myśli, a mając przed sobą równego liczbą nieprzyjaciela, nie wątpił o zwycięstwie. Wszakże niemal regułą stało się dlań: walczyć z nieprzyjacielem liczniejszym i pokonywać go.

Nie wiedział, że strona przeciwna, prócz zwykłej taktyki wojennej, posługuje się też na dużą skalę: podstępem.

Ustępowanie Denisowa było manewrem, mającym na celu wciągnięcie naszych w pułapkę.

Bitwa rozpoczęła się jaknajpomyślniej. Piechota rosyjska została złamana; jazda poszła w rozsypkę — zabrano nawet armaty przeciwnika.

Ale w chwili, gdy już miano tryumf ostateczny otrąbić, następuje zmiana straszliwa — jakby się piekło rozwarło...

W stronie, skąd nie spodziewano się niczyjego natarcia, wybucha nagle okropna kanonada — kule armatnie, niewiadomo przez kogo wyrzucane, kładą pokotem zaskoczone znienacka szeregi polskie.

Z trudnością zrozumiano sytuację...

Była, niestety, beznadziejna!

Z ukrycia wyłoniło się niespodzianie... dwadzieścia cztery tysiące Prusaków, z królem swym na czele.

Drugi z wrogów Polski występował, aby swój ciężki miecz rzucić na wahające się szale, i zgubę naszą uczynić nieuchronną!

Orle oko wodza polskiego przedarło się przez zasłonę dymów armatnich. W jednej chwili zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa — zatrąbić kazał do odwrotu.

Ustępował ostatni. Kilka koni pod nim zabito, w obie nogi został kontuzjowany — nie ruszył się jednak z miejsca, dopóki nie ujrzał ostatnich szeregów, opuszczających pole bitwy w porządku.

Jeśli armja powstańcza uniknęła tam zupełnej zagłady, zawdzięcza to jedynie: bohaterstwu Kościuszki, oraz męstwu generałów: Eustachego ks. Sanguszki, Adama Ponińskiego, Bilińskiego i innych. Straciliśmy jednak: 20 oficerów, 24 armaty i aż sześciuset żołnierzy, z których każdy wart był krzyża za waleczność.

Kościuszek z ocalonem wojskiem pociągnął ku Warszawie; Prusacy — w stronę Krakowa.

Nie wróżyło to ostatniemu miasto nic dobrego.

Kraków miał fortyfikacje słabe, zniszczone. Załogę tworzyły nowe, niedoświadczone zaciągi—przeważnie uzbrojeni w kosy wieśniacy. Mury były w ruinie; armat zaledwie osiem...

Kościuszko przewidując napad na Kraków, kazał sypać dokoła miasta okopy — zbył dobrym jednak był inżynierem i strategiem, aby wierzyć w skuteczność obrony wobec silnej armii obleżniczej. Powziął też plan inny, jak wszvstkie jego myśli genialny, któremu wszakże fatalność, stale nas w tym smutnym okresie prześladująca, ziścić się nie pozwoiliła.

Komendantem Krakowa był wówczas Winiawski — człowiek młody, zbył młody na tak poważne stanowisko. Pozostawił mu Kościuszko rozkaz zapieczętowany, polecając otworzyć go w razie nadejścia armji pruskiej w sile przemagającej.

Według tego rozkazu, Winiawski, broniąc miasta przed Prusakami, oddać je miał — Austriakom.

Zanim niedoświadczony komendant treść rozkazu poznał, zrozumiał i w wykonanie wprowadzić zdażył, Prusacy Kraków opanowali.

Było ich zaledwie 20.000!

Naród, tą stratą i tym wstydem ciężko strapiiony, oskarżył Winiawskiego o zdradę. Sad hańbiący przedostał się do wielu ksiązek. Ale rzekomy zdrajca zgrzeszył tylko młodzieńczym brakiem rozwagi.

VI.

Z chwilą, gdy prusacy politykę dwuznaczną porzuciwszy, wmieszali się czynnie do akcji, re-

wolucja miała już niewielkie widoki powodzenia.
Nec Hercules contra plures.

Kosciuszko rozumiał to niewątpliwie — poznać jednak tego po sobie nie dawał. Szło mu już może tylko o to, żeby zginąć z chwałą—czynił jednak wszystko, co czynić należy, aby odnieść świetne zwycięstwo.

Przedewszystkiem postanowił uchronić Warszawę od losu Krakowa. W tym celu, odłączywszy znaczniejszy oddział i pod wodzą Zajączka wyprawivszy go w Lubelskie, z resztą wojska pociągnął do stolicy.

10 czerwca Zajączek był zmuszony przyjąć pod Chełmem bitwę z dwukrotnie liczniejszym nieprzyjacielem. Poniósł klęskę i cofać się musiał. Przedsięwzięte przezeń próby wywołania ruchu powstanezego wśród wieśniaków speliły na niczem.

Tymczasem w Warszawie politykowano, burzono się i intrygowano. Król ze swymi poplecznikami szukał sposobów gładkiego wyśiuzgnięcia się z rewolucji. Nieprzyjaciele Kollątaja podnieśli głowę i knuli spiski przeciw niemu. Szermierz wolności i przyjaciel ludu został okrzykniony „jakobinem” to znaczy wrogiem religji i porządku społecznego, tępicielem królów i arystokracji. Motłoch pomrukiwał złowrogo, pożądając krwawych igrzysk...

Gdzie zręby gmachu państwowego chwieją się, tam zawsze anarchja rogami potrząsa.

Jednej nocy lud warszawski wznosi szubienice w najwydatniejszych (podówczas) punktach miasta: w Kynku Staromiejskim przy Ratuszu, na Przedmieściu Krakowskim przed Bernardynami. Prezydent Zakrzewski, wielki patrjota i mąż szlachetny, każe pacholkom miejskim szubienice rozrzucać. Nic to nie pomaga: następanej nocy ukazu-

ją się nowe, mocniejsze, przez czerń uzbrojoną strzeżone.

Tłum, korzystając z bezsilności rządu królewskiego i oddalenia wojsk powstańczych, wdiera się przemocą do więzień, wywleka z nich ludzi, nad którymi jeszcze ani sądu nie złożono, ani tembardziej wyroku nie wydano — sam czyni się ich sędzią i oprawcą. Natychmiast, wśród zwierzęcych ryków czerni zostają powieszani: książę Masalski, biskup wileński, książę Czetwertyński i grek Boskamp. Potem przychodzi kolej na ludzi najzupełniej niewinnych, pochwyconych na ulicy z papierami, których treści społeczeństwo zrozumieć nie mogło. Giną śmiercią haniebną adwokat Wulfers, według Niemcewicza: „zdatny, gorliwy obywatel“ oraz Majewski, który, broniąc powagi prawa i porządku publicznego, nie puszczał motłochu do więzienia. Niewinny również Moszyński miał już założony stryczek — ze szpon oprawców wyrwał go siłą szlachetny Zakrzewski.

Odbyło się to w dniach 27 i 28 czerwca. W blisko czterdzieści lat później, 15 sierpnia 1831 r. odbyły się te dni w dziejach naszych echem złowrogim.

Kościuszkę do głębi wstrząsnęła wiadomość o wypadkach warszawskich. Oświadczył głośno, że „dwie bitwy przegrane mniejby go od nich zaszczyliły i mniejszą wyrządziły szkodę sprawie narodowej“. Mimo nadzwyczajnej wrodzonej łagodności, kazał surowo ukarać zbrodniarzy. Najwinniejsi z pośród anarchistów, w liczbie siedmiu, ci co wiészali, zostali powieszani. Jeden, główny podszczuwacz, otrzymał wyrok wieczystej banicji. Resztę przestępców posłano do armji wojującej, z poleceniem, aby w czasie bitwy umieszczano ich w punktach, najmniej od kul zabezpieczonych.

Kościuszkó, przybywszy pod Warszawę, oto:

czył ją natychmiast linią obronna. W tym celu podzielił swe siły na trzy kolumny. Kolumna pierwsza, pod wodzą Mokronowskiego, rozłożyła się pod Marymontem. Kolumna druga, dowodzona przez Zajączka, zajęła Czyste. Nad trzecią kolumną objął dowództwo sam „naczelnik“ i stanął obozem przy Mokotowie.

Miasto nie posiadało żadnych fortyfikacji. Oślał je tylko wał niski i nieobronny. Kościuszko polecił zabrać się jak najenergiczniej do sypiania okopów.

Zajmowała się tem przez kilka tygodni cała Warszawa. Starcy, dzieci, kobiety — wszystko spieszyło do robót fortyfikacyjnych. Zakonnicy nosili ziemię w kapturach, wytworne damy w fartuszkach — taczkami wozili ją najwyżsi dygnitarze świeccy.

Okopy powstrzymały zapęd armji nieprzyjacielskiej, przeważnie pruskiej, która licząc 50.000 żołnierza, obiecywała sobie łatwe zagarnięcie stolicy. Załoga Warszawy składała się z 22.000 ludzi, wśród których jednak było zaledwie 9.000 regularnego, doświadczonego wojska. Resztę tworzyły nowe zaciągi.

28 lipca prusacy uderzyli na pozycję Zajączka pod Wolą, i zajęli tę wieś, słabo bronioną. Stąd zaczęli ostrzeliwać Warszawę. Na szczęście zbyt — dla ówczesnych armat — odległość czyniła strzały prawie nieszkodliwymi. Huk tylko rozlegał się wciąż ogłuszający. Niemcewicz opowiada, że z kanonadą, przez kilka dni trwającą, tak się wreszcie oswojono, że gdy kule armatnie, bezsilne już, na bruk spadały, dzieci zbierały je i niosły do arsenału, gdzie je od nich po 3 grosze kupowano.

Armją oblężniczą dowodził król pruski, mając przy sobie młodego syna. Oblężenie przecią-

gało się, niecierpliwiąc obie strony. Z miasta czyniono częste wycieczki, które nieprzyjaciółom niemałe szkody wyrządziły. Najgorętsze rozprawy toczyły się w okolicach Powązek. Zginęło tam wielu Niemców, ale i naszych sporo poległo. Jednej nocy oficer artylerji Zeferin podkraść się z małym oddziałem pod Wolę, zagwoździł 9 armat pruskich, i zabrał kilkunastu Niemców do niewoli.

A nie tylko wojskowi brali udział w tej parzytance. „Cywilni mieszkańcy Warszawy tak się ośmielili, że jak gdyby na polowanie wychodzili z fuzyjkami strzelać do piechoty pruskiej“. (Niemcewicz).

Minął sierpień, a w położeniu obu stron nic się nie zmieniło.

Nareszcie 5 września Prusacy zaczęli zasypywać Warszawę istnym deszczem kul i kartaczy. Zdawało się, że ten szturm gwałtowny przemoże opór miasta. Ale stało się inaczej.

Tegoż samego dnia do obozu Kościuszki przybyli gońcy z wieściami radosnemi. Pierwsza z tych wieści donosiła, że obywatel Mniewski, kasztelan Kujawski, napadłszy na Prusaków, spławiających Wisłą działa oblężnicze do Warszawy, pobił ich, a działa wraz z amunicją zatopił. Wieść druga była jeszcze pomyślniejsza: zwiastowała wybuch powstania w Wielkopolsce pod wodzą Madalińskiego.

Król pruski porzucić musiał oblężenie Warszawy i śpieszyć na pomoc własnemu państwu. Ów szturm piekielny był jakby fajerwerkem „na waletę“ spalonym.

O wczesnym ranku 7 września, Prusacy i złączeni z nimi Rosjanie od Warszawy odstąpili.

VII.

Ale wyroków Bożych żadna moc nie cofnie...
Musiało spełnić się przeznaczenie, i Polska musiała być złożona — na trzy doby — do grobu.

Po pięknym, słonecznym poranku Raclawickim, nadchodził krwawy zachód słońca pod Maciejowicami. Wielkie majestatem bohaterstwa opromienione powstanie narodowe kończyło się upadkiem. I w tym przecie upadku wielkie było i majestatem pełne.

Może jeszcze optymiści i zapaleńcy łudzili się nadzieją zwycięstwa — leniej i dalej widzacy Kościuszko złudzeń nie miał. Zdając sobie dokładnie sprawę z położenia, już nie spodziewał się zwycięstwa.

Revolucja powszechna, pospolite ruszenie, na które liczył najbardziej zawiodły; pieniądze, które z niesłychanym trudem trzeba było zdobywać coraz bardziej brakło — tymczasem siły nieprzyjaciół wzrastały, a węzeł łączący ich wzmacniał się. Wojnę musiano prowadzić na dwa fronty — wkrótce zapewne odkryłby się i trzeci.

Korzon, nadzwyczaj w obliczeniach swych ścisły i opierający je na dokumentach urzędowych, twierdzi, że w tym czasie walczyło przeciwko nam 57.000 Prusaków, 50.000 Rosjan i 40.000 Austriaków. Te siły olbrzymią wzmacniał jeszcze świeży sukurs: korpus Suworowa, pedzacy forsownym marszem na Polskę, a liczący 18.000 wytrawnego, niedawnemi zwycięstwami ośmielonego żołnierza oraz 60 dział. Kim zaś był Suworow, o tem wie historia. Carowa twierdziła, że on jeden za całą, drugą armję wystarczy...

Nasza zaś armja, po wliczeniu do niej nawet ciurów ostatnich, nie posiadała więcej nad 70.000 ludzi. Z pozoru przedstawia się ta cyfra dość im-

ponująco, trzeba jednak wziąć pod uwagę, że połowa tych ludzi była nieumundurowana, nieuzbrojona i niewyćwiczona...

Pocóż zatem Kościuszko prowadził Polaków w ogień?

Po to, aby zakończyć te gigantyczne zapasy zwycięstwem — nie zwykłym, militarnym zwycięstwem, lecz tryumfem duchowym, tryumfem idei...

On chciał, aby po skończonej wojnie, świat cały powiedział a potomność najdalsza powtórzyła:

— *Gloria victis!*... Chwała zwyciężonym!...

Kościuszko mógł być wyprowadzić w pole zaledwie 20.000 ludzi — a i ten szczupły oddział musiał na trzy części rozdzielić. Główny korpus oddał księciu Józefowi Poniatowskiemu; generała Mokronowskiego uczynił wodzem pułków litewskich — sam z 8.000 najlepszego żołnierza wyruszył przeciw Ferzenowi, aby nie dopuścić do połączenia się jego z Suworowem.

Plan kampanji został obliczony z tą dojrzałą rozważą, która znamionowała wszystkie postęпки Kościuszki. Ale co pomogą najdojrzalsze plany przeciw woli Bożej?

W dniu 7 października nasza mała armia rozłożyła się obozem pod Maciejowicami. Wódz kazał natychmiast sypać wały. Umieściło się za niemi zaledwie 5.000 żołnierzy. Z reszty utworzył Kościuszko rezerwę i pozostawił ją, pod wodzą generała Ponińskiego w odległości trzech mil od Maciejowic.

O godzinie drugiej w nocy z 9 na 10 października, bezpośrednio przed bitwą, zmienił Kościuszko plan i postanowił owe 3.000 rezerwy przyłączyć do szyku bitewnego. W tym celu zbudził swego adjutanta, którym był Juljan Ursyn Niemcewicz, i po-

lecił mu napisać do Ponińskiego rozkaz, wzywający go do natychmiastowego przybycia.

W chwili krytycznej, Poniński, niecierpliwie wyczekiwany, nie przybył, i tem katastrofę przyspieszył. Mówili niektórzy, że ją spowodował, ale to nie prawda. Katastrofa wisiała w powietrzu, do odwrócenia była niemożliwa.

Ponińskiego pociągano później do odpowiedzialności, stawiony był przed sądem wojennym, gdzie zarzucano mu zdradę — oczyścił się jednak z zarzutów. Sam Niemcewicz, do potępiania i wyroków pośpiesznych aż nadto skłonny osądził: „Niestety! już to było zapóźno. Zdaleko zostawiony, nie mógł już zdążyć, i z tej strony wolny być powinien od posądzeń i winy“.

O samym świcie 10 października, Ferzen wykonał pierwsze gwałtowne natarcie na nasz obóz. Hasło polskie brzmiało: „Śmierć lub zwycięstwo!“ — nieprzyjaciel krzyczał: „Warszawa i zemsta!“

Liczba Rosjan czterokrotnie przewyższała nasz skromny oddziałek. Prócz tego mieli doskonałą artylerję, której my mogliśmy przeciwstawić... trzy dwunastofuntowe armatki.

Mimo wszystko, Kościuszko przez trzy godziny wytrzymał niezłomnie ataki rosyjskiej nawały, upatrując wciąż Ponińskiego, który nie przybywał. Sam stał przy armatach i celował je, a dzięki temu każdy pocisk sprawiał dotkliwe szkody nieprzyjacielowi. Była nawet chwila, gdy jak blade słońce zpoza chmurzysek jesiennych, uśmiechnęła się do nas nadzieja. Jenerał Sierakowski, przystąpiwszy do Naczelnika, rzekł: — Zdaje mi się, że moskaluszki zabierają się do odwrotu... Było to złudzenie, podobne do tego, jakie spragnionemu wędrowcowi na pustyni ukazuje w powietrzu źródło wody żywej...

Po kilku godzinach zawziętego oporu, pod

przemocną siłą artylerji rosyjskiej, pod ognistym, na chwilę nieustającym, deszczem kul i kartaczy— hufce nasze zaczęły łamać się i mieszać.

„Fersen — pisze Niemcewicz — mając działa większego kalibru, pierwszy kulami dosięgać nas zaczął. Ogromne te kule, ze strasznym łoskotem przedzierając się przez drzewa i krzaki, łamały je i zasypywały nas oderwanemi gałęzmi... Ogień stał się coraz pędszy i straszniejszy. Grad kul i granatów, gwiżdżąc bezustannie koło uszu, padał pomiędzy hufce nasze. Ze wszystkich stron śmierć dookoła nas latała... Rozpalony granat padł w miejscu, gdzie Naczelnik, Fiszer i ja staliśmy razem. Pękł, i o pięćdziesiąt kroków od nas kanoniera trupem położył. Za większem zbliżeniem się nieprzyjaciela, z obu stron zaczął się gęsty ogień z ręcznej broni — okrywała się ziemia trupami — przerażały jęki ranionych i konających; żaden atoli z naszych nie opuścił miejsca, na którem walczyć zaczęli“ ...

Niebawem kula dosięgła wiernego adjutanta i towarzysza Kościuszki, autora słów powyższych. Z ranionej ciężko ręki wypadła mu szabla; osłabiony, cugli trzymać nie mógł. W tejże chwili otoczyli go chmarą gęsto dragoni i do niewoli wzięli.

A Kościuszko?

Już kilka tysięcy trupów polskich okryło pole bitwy; już wielu najdzielniejszych oficerów, zwyciężyć nie mogąc, poległo; już wszystkie nasze armatki zamilkły — a jeszcze On, w chłopskiej sukmanie, z opromienioną blaskiem twarzą, zbiera rozpierzchną jazdę — do nowego ataku ją prowadzi.

Zabito pod nim trzy konie — przesiada się na czwartego, chłopskiego mierzynka, naprzód się rwie po „śmierć lub zwycięstwo“.

Wtem wspomniany pułk dragonów spada, jak

burza, rąbie go szablami, wierzchowca mu zabija — oblanego krwią, zemdlonego rzuca w grząskie trzęsawisko.

Bitwa przegrana!

.

Nadjechali wkrótce w to miejsce kozacy, odzierający zabitych.

Nie poznali wodza w szarem, skromnem ubraniu.

Kłują go pikami — on znaku życia nie daje.

Jeden z kozaków spostrzegł na palcu leżącego pierścienie. Ściągnął dwa — sięga po trzeci, pamiątkowy, kameę, przedstawiającą boginię Zwycięstwa...

W tej chwili Kościuszko odemknął powieki. Przenikliwe spojrzenie jego niebieskich, łagodnych oczu padło na twarz dońca.

Zmieszał się kozak, coś go tknęło.

— Ty Kościuszko? — pyta niespokojnie.

Wódz przytaknął.

Dziki przed chwilą żołdak, jakby światłem anielskiem olśniony, korzy się przed bohaterem, zwraca mu zabrany łup, twarz obmywa wodą, do ust przykłada własną manierkę z wódką. Przywołani przezeń kamraci splatają ze świeżych gałęzi nosze, kładą na nich ranionego i z najczulszą ostrożnością do głównej kwatery rosyjskiej odnoszą.

W rozmaity sposób przedstawiono losy Kościuszki pod Maciejowicami — to wszakże opowiadanie jest ze wszystkich najwiarogodniejsze. Przytoczył je Niemcewicz — najbliższy przyjaciel Kościuszki i pierwszy, któremu bohater, w kilkanaście godzin po wypadku, szczegóły jego opowiedział.

Zaznaczmy przy sposobności, że Kościuszko, jak wszyscy ludzie naprawdę wielcy, wywierał nawet na swych wrogów wpływ potężny, rozbra-

jający. Tak naprzykład, gdy w wiele lat później przebywał jako jeniec w Fontainebleau, odwiedził go ataman kozacki Potapon; na widok bohatera łzami się zalał, i ręce mu ze czcią całował...

Tuła się dotąd po książkach i w ustnej tradycji legenda, że raniony Kościuszko, na widok kłęski swego wojska miał z bólem i rozpaczą wykrzyknąć:

— Finis Poloniae!

Była to plotka, równie lekkomyślna, jak złośliwa.

Pominąwszy, że taki okrzyk nie zgadzałyby się z charakterem wielkiego patrioty i rycerza, i stałby w rażącej sprzeczności z jego najgłębszymi przekonaniem, sama już logika wypadków dostatecznie fałsz tego okrzyku wskazuje.

Zemdlony Kościuszko odzyskał chwilowo przytomność, gdy mu kozak pierścienie z palców ścigał. Któż więc mógł wówczas jego łaciński okrzyk usłyszeć i powtórzyć? — chyba ów doniec i jego towarzysz, którzy nawet rodowitego języka dobrze nie znali...

Po nowem zapadnięciu w omdlenie, ocucił się bohater dopiero przy boku Niemcewicza — ale ten ostatni ani słowem o czemś podobnem nie wspominał.

Ktoby wreszcie z rozmyślnym uporem ową plotkę dziś jeszcze powtarzał, niech wie, że jej sam Kościuszko, w liście rozesłanym później do dzienników francuskich kategorycznie zaprzeczył.

Pod Maciejowicami, rola Kościuszki w powstaniu 1794 skończyła się.

Wziętego do niewoli powieziono do Petersburga, gdzie, po długim, męczącym śledztwie, został osadzony w twierdzy Petropawłowskiej. Przebywał tam razem z Niemcewiczem, Kilińskim, Kapostosem i innymi, aż do śmierci Jekatieryny i wstąpienia na tron Pawła I-go.

VIII.

Rewolucja dobiegała do kresu. Z hasła: „Zwycięstwa lub śmierć“ już tylko druga połowa była możliwą do osiągnięcia. Przyjmowaną ją z zupełną determinacją.

Podobno zwycięstwo pod Maciejowicami nawet dla Rosjan było niespodzianką. Widać stąd jak wysokie mieli pojęcie o bohaterstwie Polaków. Sił naszych nie mierzyli ilością wojska i armat.

Gdyby Maciejowice zawiodły, Suworow miał rozkaz zawrzeć rozejm i przezimowawszy z armją w Polsce, dopiero na wiosnę wznowić kroki wojenne.

Porażka naszych i uwięzienie Kościuszki zmieniło te plany. Suworow ruszył prosto na Warszawę.

Szedł, jak wał morski spiętrzony i groźny — jak tocząca się ze szczytów górskich lawina, której nic zatrzymać w drodze nie zdoła.

W Warszawie panował zamęt. Nie było komu zastąpić Kościuszki. W braku lepszych, pełnił chwilowo tę rolę „czerwony“ Kollataj, ale pełnił źle; gdyby mu zaś czasu starczyło, pełniłby ją jeszcze gorzej.

Sekundował Kollatajowi Zajączek, którego przekonania, mające z czasem, na stanowisku Namiestnika Królestwa Kongresowego stać się tak bardzo „białemi“, były wówczas również na czerwono zabarwione.

Po wielu naradach, próbach i namysłach, mianowano komendantem załogi warszawskiej Tomasz Wawrzeckiego, który się napróżno, ze łzami w oczach, od tego ciężaru wymawiał.

Znów zaczęto sypać nowe i naprawiać stare okopy. Zajączek chciał rzucić przez Wisłę drugi

most — lecz już na to czasu nie było. Skończyło się na oszańcowaniu Saskiej Kępy.

Istniał projekt uprzedzenia ataku i stoczenia walnej bitwy w polu, przed okopami. Ale klęska Maciejowicka ostudziła zapał bohaterski. Ulęknięto się stawiania wszystkiego na jedną kartę.

Ostrożność nie była zbyt dużą. Już nie bohaterstwem byłoby, lecz szaleństwem, wyciągając z dwudziestu kilku tysiącami nowozaciężnego, niewyćwiczonego żołnierza przeciw czterdziestu tysiącom bitnych i zawziętych Suworowskich żołdaków oraz trzydziestu tysiącom gotowych do pomagania im Prusaków.

Suworow przyciągnął pod Pragę 2 listopada. Nocą tegoż samego dnia kazał sypać baterje, ustawił na nich piętnaście armat i przez cały następny dzień ostrzeliwał praskie okopy. Zdobyto je bardzo szybko i niebawem artylerja rosyjska już z Pragi bombardować zaczęła Warszawę.

Strzelcy nasi zostali odparci. Zajęczek, który pośpieszył im na pomoc, oskoczony przez Rosjan i ciężko ranny, ledwie z życiem ująć zdołał. Jasińskiego i Grabowskiego, zajadłe broniących się pod osłoną palisad, zabito.

Cały atak trwał zaledwie pół godziny. Rosjanie zajęli Pragę i w gwałtownym zapędzie dotarli aż do mostu, po którym cofali się nasi, mając pośród siebie Wawrzeckiego.

Z największym pośpiechem rzucono się do siekier i most rozerwano. Wawrzecki wpadł do miasta na koniu i wielkim głosem wzywał lud do bronięcia stolicy.

Tymczasem zaciekłość Suworowa i jego podwładnych zwróciła się przeciw niewinnym, bezbronnym mieszkańcom Pragi.

Rzućmy zasłonę na ten obraz okropny...

Są sprawy, które dla honoru ludzkości omijać trzeba zdala, jaknajmniej o nich mówiąc.

Zresztą rzeź Pragi przeszła już do historii nie tylko naszej lecz i powszechnej. Sąd o niej właściwy wszyscy już wydali.

Zapiszmy tylko dla ścisłości, że w dniu 4 listopada 1794 r. od kul, szabel, pik i kindżałów armji Suworowskiej, zginęło na Pradze piętnaście (według innych dwadzieścia jeden) tysięcy ludzi bezbronnych, przeważnie kobiet i dzieci.

Suworow—Paszkiwicz—Murawjew...

Te trzy imiona, jak trzy wały kamienne, odgradzają od siebie dwa pokrewne narody, opóźniając przyjęcie Królestwa Bożego. Jednak, mimo wszystko, ono przyjdzie.

Rok 1794, rozpoczęty przy słońcu kwietniowym, wśród bicia dzwonów, głoszących Zmartwychwstanie Pańskie, z zapalem, otuchą i nadzieją, zakończyła Polska wśród szarów jesiennych, wśród pól i ulic trupami zaścielonych, w smutku przygnębiającym i ciężkiej żałobie.

Wrogowie usiłują przedstawić przed światem Polaków, jako urodzonych, zawziętych, rzecz można: zawodowych rewolucjonistów. Tacy rewolucjoniści dążą zawsze do wywrotu, burzą, nie budując, i swem każdym, wywrotowem przedsięwzięciu mają przedewszystkiem na widoku cele samolubne: osobiste lub partyjne.

Tymczasem posłuchajmy jak przemawia i jakie credo wypowiada wódz rewolucji, która od jego nazwiska miano swe wzięła.

„Bóg widzi — pisze w liście poufnym do przyjaciółki, przed którą zawsze jaknajszczerzej spowiadał się z myśli swych i uczuć — że nie francuską zaczynam rewolucję... Czynię niektóre dyspozycje tymczasowe, a zostawiam stanowienie

prawa Narodowi. Niech Naród ustanowi taki rząd, jaki się jemu podobać będzie. Rzucę broń w Izbie Sejmowej bez żadnego interesu osobistego, tylko abym użył w domku małym spokojności i bawił się ogródkiem“...

To brzmi, jak najpiękniejsza pieśń liryczna— jak cały poemat!

Glorja poezji otacza wspaniałą postać Kościuszki — i całą Rewolucję Kościuszkowską.

SERCE KOŚCIUSZKI.

Serce Kościuszki należało w całości do Ojczyzny. Czy zatem było w niem miejsce na uczucia niższego rzędu, naprzykład na miłość dla kobiety?

Odpowiem przypowieścią wschodnią.

Do pewnego ludnego, bogatego miasta przybył poeta, prosząc o gościnę.

— Nasze miasto — oświadczyli mu ojcowie— już nikogo przyjąć do siebie nie może. Jest tak pełne, jak czara, po same brzegi winem nalana. Jeszcze jedna kropla, a wino wierzchemby się przelało...

Westchnął poeta, a potem nieśmiało poprosił:

— Postawcie tu taką czarę...

Prośbę spełniono — na stole stanęła czara, po same brzegi winem nalana.

Poeta wówczas z róży, trzymanej w ręce, oberwał jeden płatek i na powierzchnię wina rzucił.

Płatek utrzymał się na powierzchni,—a z pełnej czary nie wylał się ani jeden atom wina.

— Co to znaczy? — zapytali ojcowie.

— Czarą wina jest miasto wasze; płatkem róży — poeta.

Zrozumieli — i poetę do siebie przyjęli.

Zastąpmy w tej powieści miasto przez serce, wypełnione miłością Ojczyzny, poetę zaś przez miłość, której patronuje Kupido, a zrozumiemy, że ostatnia pomieścić się mogła w pierwszym, ani przepelniając go, ani równowagi jego nie naruszając, tak właśnie jak płatek różany w nalanej winem czarze.

Najnowszy monografista Kościuszki, Dr. Feliks Koneczny, odziera życie bohatera z tęczyowych szat miłości, twierdzi, że on „wogóle nie kwapił się do małżeństwa“, uważa go za zbyt poważnego i statecznego, by mógł „bezcelowo romansować i bałamucić pannę“, wreszcie, że nawet na przyjaźń z kobietą — tembardziej zatem na miłość dla kobiety — „czasu nie miał“.

Te surowe zastrzeżenia dowodzą, że monografista uważa wielkich ludzi typu Kościuszkowskiego za niedostępnych dla miłości i wyższych nad to uczucie, przez poetów sławione.

Trudno na to zgodzić się wogóle, a już najtrudniej, gdy idzie o Kościuszkę.

Miłość nie tylko zgadza się jaknajlepiej z bohaterstwem, lecz bywa jego dźwignią, ozdobą, wzmocnieniem, a nierzadko i rodzicielką.

Czyż mamy po przykłady sięgać do głębokiej starożytności, wskrzeszać Homerowych i Wergiljuszowych herojów? Czy mamy przypominać genjuszów poezji i sztuki, również na swój sposób herojami będących, i po raz tysięczny stwierdzać, że imiona ich wszystkich, począwszy od surowego Danta, ponurego Michała Anioła i wszechmądrego Ljonarda da Vinci, skończywszy na trójcy naszych wieszczów, na Byronie, Goethem, Beethovenie, Chopinie i olbrzymach sztuki plastycznej — historia związała raz na zawsze z imionami umiłowanych przez nich kobiet? Czy mamy wywoływać z grobów duchy średniowiecznych rycerzy,

tak bitnych razem i tak czułych, z których każdy walczył w barwach wybranych przez się piękności, a w puklu jej włosów, we wstążce ręką jej czyższaka przytwierdzonej, czerpał pod murami Jerolimy i gdzieindziej moc i zapal do czynów bohaterkich?

Wystarczy przykład bliższy i zrozumialszy, a tak wyraźnie, tak typowo polski: rycersko-miłosny dwugłos straszego turkom króla Jana i załotnej, a w Owidjuszowej „sztuce miłowania“ bieglej królowej Marysieńki: Nie przeto ręka królewska słabła, a miecz królewski pogańskie czerepy płatać przestawał, że się król podczas w „Cezladona“ u drobnych onej stopek zabawiał.

Prawda, że Napoleon, dotąd jeszcze przez wielu za bohatera uważany, kobiety lekcewał — bynajmniej zresztą od nich nie stroniąc. Nie podniosło to ani na cal jego wielkości; owszem, i w polityce i w życiu na manowce go zawiodło. Zdobywał (żeby je utracić) miasta i kraje — nie zdobył naprawdę ani jednego serca niewieściego, a co ważniejsze: ani jednej niewieściej duszy. Płocha Józefina wywiodła go w pole przy ślubie, a potem stale to czyniła — jakby w przeczuciu dnia, w którym on postąpi z nią, jak z kamieniem, zawadzającym na drodze. Druga żona, austriaczka, zawierając z nim zimne, dyplomatyczne małżeństwo, opuściła go w nieszczęściu, a gdy umarł, nawet pamięci jego nie uszanowała. Pomścił się Eros na „bożku wojny“ za to, że on mu wzgardę okazywał.

I pod tym względem i pod wielu innymi błędzą zasadniczo ci, którzy zestawiają Kościuszkę z Napoleonem. Należałoby raczej przeciwstawić ich sobie.

Napoleon z twardem, samolubnem i okrutnem sercem łączył pychę granic nie znającą. Serce

Kościuszki było tkliwe, namiętne i ofiarne, więc jakby stworzone do miłości; skromne zaś wzmaganie, stawiane życiu, nosiły zamię już nie Horacjuszowskie lecz ewangeliczne.

W jednym z listów do ukochanej Tekli Żurawskiej skreślił siebie w niezrównany, sobie tylko właściwy sposób: — W obrębie małych szczęśliwości żyć pragnę. Warunki, w jakich to wyznaczenie było uczynione, wskazywały wyraźnie, że należało uzupełnić je dodatkiem: „byłbym posiadał miłość wybranej kobiety, którą za największą poczytuję szczęśliwość“.

Nasi historycy, najszlachetniejszą intencją powodowani, wkraczając w nie swoją dziedzinę rzeźby monumentalnej, postać Kościuszki stale wykuwają z kamienia lub odlewają ze snizu. Ale kamień i sniz nie są materiałami, z których Bóg duszę wielkiego Tadeusza utworzył.

Fałszywego Kościuszkę dał nam również Mastekko. Być może, że nasz bohater w pewnym momencie, w pewnych szczególnych warunkach tak wyglądał, tak był ubrany, tak pierś wyprażał i tak konia dosiadał — odtwarzać jednak tego rodzaju przegodne, przemijające nastroje, jest rzeczą fotografa, nie artysty. Wielki artysta, przedstawiając wielkiego człowieka, dawać powinien jego syntezę.

I w sztuce i w życiu rozstać się nam trzeba z przeżytkiem średniowiecznym, jakim jest: wyrażanie wielkości ducha wielkością materialną. Można być wielkim rycerzem bez lśniacej zbroi i unierzonego szwajaka, bez „marsowej“ postawy i hardej, tryumfatorskim ruchem podniesionej głowy, wreszcie bez wszelkiej snizowości i marumowości w charakterze i postępowaniu. Trafnie wypowiedział to Norwid:

Kończy się era starego oręża,
Czas jej ucieka;
Nie człowiek już dziś kuty dla oręża—
Oręż dla człeka.
Za to i rycerz nie lada gwałtownik,
Lecz ów, co czeka;
I nie koniecznie atletą pułkownik,
Prędzej — kaleka...

Więc pozwólmy wielkiemu Kościuszce być w życiu nie posągiem, lecz człowiekiem, mieć ludzkie serce i ludzkie nerwy, po ziemsku weselić się, cierpieć i miłować. Z dzisiejszego punktu widzenia ani o cal to go nie pomniejszy. Owszem, im bardziej okaże się człowiekiem, bratem naszym, tem bliższy nam będzie, zrozumiajszy i bardziej przez nas kochany.

Nie wątpimy na chwilę, że Kościuszko „miał czas“ na miłość i że to uczucie nie tylko nie odrażało go, lecz było potrzebą jego tkliwego serca. Jeśli przeżył i przeboleł kilka wielkich miłości (każda wielka miłość daje tyleż bólu, co rozkoszy), i jeśli nie wzdragał się zrywać róż, które niekiedy na drodze jego życia z pośród cierni wykwitały — nie przynosi to mu w naszych oczach żadnej ujmy i nawet przeciwnie: przyczynia nowego, poetycznego uroku.

Surowy historyk, podziwiający w Kościuszce „posagową prostotę“, a nie widząc, że w jego określeniu tkwi *contradictio in adjecto*, osądził, że nasz bohater na „zabiegi miłosne był za wielki“, że „nie miał na nie czasu ani miejsca w myśli swojej, zbyt naprężonej w kierunku spraw większych, wyższych i ważniejszych“.

Inne było o tem zdanie Michelet'a, wielkiego pisarza francuskiego, przyjaciela Mickiewicza i wszystkich polaków, — który, pisząc o Ko-

ściuszcze, mylił się niekiedy w szczegółach biograficznych, ale jego ducha przeniknął głębiej i wyłómaczył trafniej, niż ktokolwiek inny.

Kreśląc plastyczny wizerunek oblicza Kościuszkowskiego, poświęca Michelet pilniejszą uwagę jego oczom i mówi o nich: „Oczy Kościuszki były bardzo żywe, bystre, a zarazem łagodne. W nich odbijała się najwymowniej wielka czułość jego serca. Czyniło go to podobnym do dawnych bohaterów Polski, którzy byli prawie świętymi. Turcy, doświadczający po wielokroć mocy tego bitnego plemienia, dojrzeli w niem jednak nadzwyczajną wrodzoną łagodność i miłościwość. Nazywali polaków narodem gołębim. Otóż to miłościwość, ta chęć i gotowość serdecznego przywiązania się, widniały w całej postaci Kościuszki. Nikt nie był zdolny w tym stopniu, co on, kochać kobiety, i okazywać jej równie wzniosłego, a jak najczystsze uczucia“...

Doszła potomnych wiadomość o dwóch takich wzniosłych i przezystych miłościach Kościuski. Bohaterką pierwszej była Ludwika Sosnowska, drugiej Tekla Żurawska.

Stosunek z Ludwiką, najrozmaiciej przez współczesnych pamiętnikarzy i późniejszych biografów przedstawiany, do ścisłej definicji nader jest trudny. Upstrzono go mnóstwem napół romantycznych, napół skandalicznych dodatków, które właściwy jego charakter wykrzywiły i zatarły.

Najnowsza krytyka (dziś nawet miłość podaje się krytyce!) sprowadzić chce stosunek prawie do zera... Ale ten zamach na piękną legendę podobno na niczem spełźnie.

Michelet, opierając się na materiałach, które do jego czasów w druku się ukazały, a zarazem na świadectwie osób, zbliska i Kościuszkę i Sosnow-

ską znających, przedstawia ten epizod jako pogodną, poetyczną sielankę, zakończoną nagle uderzeniem gromu, — który wszakże nikogo nie zabił.

Według niego dwudziestosześcioletni Kościuszko, ze skromną rangą kapitana, lecz już z zadatkami przyszłego geniuszu i przyszłej sławy, ujrzał Ludwikę po raz pierwszy w roku 1776 w Warszawie, na wielkim balu dworskim, wyprawionym z okazji urodzin królewskich. Ujrzał, i odrazu — jak to najczęściej w takich wypadkach bywa — „na życie i na śmierć“ pokochał.

Ta miłość miała być i musiała być nieszczęśliwą. Zbyt wielkie różnice stanowiska i majątku dzieliły niezamożnego kapitana, posesora w polowie tylko niewielkiej szlacheckiej fortunki, od bogatej hetmanówny i wojewodzianki.

Błądzi w tem miejscu pisarz francuski, nazywając ojca Ludwiki „dumnym magnatem, jednym z owych starożytnego rodu panów polskich, niemal królów w obrębie swych niezmiernych posiadłości, nieubłaganych dla śmiałka, co równym mu nie będąc, odważyłby się podnieść oczy na jego córkę, gotowych, jak ongi ukraiński możnowładca, przywiązać intruza do dzikiego konia i w step, na śmierć pewną go puścić“...

Hetmaństwo i wojewodźstwo (tytułarne tylko) Sosnowskiego nosiły stempel bardzo świeży. Sam on parenteli wysokiej nie posiadał; był karjerowiczem, a co gorsze i najgorsze: słuźalcem rządu rosyjskiego, kreaturą wrogiego polakom Repnina.

O tem zresztą Kościuszko w owym czasie nie wiedział. Inaczej, sercu kazałby z pewnością miłość, a raczej zupełnie przemówiłby mu nie dał, oczy zaś od grzesznej pokusy natychmiastby odwrócił.

Według Michelet'a, nadzwyczajna duma hetmana wyszła w tym wypadku na korzyść Kościuszce. W głowie zaślepionego samoubóstwianiem magnata, nawet postać nie mogła myśleć, aby jakiś chudopacholek śmiało podnieść oczy na jego córkę. Więc gdy Kościuszko, wysłany na Litwę, stanął wraz ze swym pułkownikiem w zamku Sosnowskiego, hetman z wyniosłą obojętnością patrzył na zbliżenie się jego do Ludwiki. Pozwalał młodemu widywać się ze sobą, długie prowadzić rozmowy; nie zaoponował i przeciw temu, żeby młodzian został nauczycielem panny.

Następstwa tego zaślepienia niedługo dały na siebie czekać. „Kościuszko uczył pannę Sosnowską najpierw języka francuskiego, następnie — miłości“.

Michelet w sposób niezwykle piękny wyjaśnia genezę tego stosunku, który nie był bynajmniej tak zwanym „romansem“, i w którym ani młodzieniec nie wystąpił w roli uwodziciela, ani panna nie okazała się sentymentalną gąską.

„W kraju — mówi — tak silnie wstrząsanym burzami politycznymi, jak ówczesna Polska, kobiety, w sprawach narodowych albo czynny biorące udział, albo świadome ich z długich rozmów, prowadzonych w domu, posiadają niezmierną bystrość w ocenianiu ludzi. Znana im jest dobrze wartość moralna każdego mężczyzny, gdyż one poniekąd tych mężczyzn tworzą, i korzystając z władzy, jaką im płeć daje nad nimi, na bohaterów ich sposobią“.

Ludwika Sosnowska z zupełną świadomością swego czynu i jego następstw, oddała serce Kościuszce. „Nigdy może jeszcze miłość nie była ze strony kobiety mniej ślepa, a ze strony jej wybrańca bardziej zasłużoną. Dochodząc trzydziestego roku życia, Kościuszko znajdował się już

w pełnym rozkwicie swego genjuszu i cnót swoich. Ludwika pokochała nie obiecującego włościanina, lecz całkowicie już ukształtowanego męża. Jasnowidztwo dziewicy-polki ukazało jej w nim tego, kim był w rzeczywistości: bohatera“.

Przy bohaterze i sama poczuła się obowiązana do bohaterstwa. Więc przeczuwając nieprzełomny opór ze strony ojca, przewycięża wstyd niewieści i rezerolucie żąda od kochanka, żeby ją wykradł.

Na takie bohaterstwo zdobyć się mogła tylko rozkochana polka.

Purzucić dom, wyrzec się dostatków, zerwać z rodziną, któraby jej tego nigdy nie przebaczyła, iść za niezamożnym oficerem, niemającym jeszcze ani stanowiska, ani imienia, a na którego w dodatku spadłaby niechybnie dymisja i banicja—znaczyło: skazywać się na wygnanie, wzgardę publiczną i nędzę.

Z tego wszystkiego Ludwika Sosnowska — według Michelet'a — zdawała sobie sprawę, nie zachwiało to jej wszakże w powziętem postanowieniu.

O zamierzonej ucieczce hetman się dowiedział... Czy przeszkodził jej? Bynajmniej!

Opanowała go taka zimna wściekłość, ludzom złym i okrutnym właściwa, która ma na celu jedno tylko: zemstę. Zemsta była mu droższą nad honor rodziny; dla nasycenia jej uczynił się ślepym i głuchym i pozwolił młodej parze dom opuścić. I dopiero, gdy się to stało, wysłał za nią zbrojną pogoń, która miała pannę odebrać i do domu, choćby w więzach, dostawić, kochanka zaś jej — zabić.

Napadnięty znienacka Kościuszko dobyć musiał szabli. Zajadłe bronił nie tyle życia własnego, jak wolności ukochanej kobiety. Ale napastnicy przewyższali go liczbą. Powalony na ziemię, po-

rażany, z upływu krwi omdlał. Gdy do przytomności wrócił — już Ludwika przy nim nie było.

W trzydziestym roku życia — kończy swą opowieść Michelet — Kościuszko stracił wszystko, co było jego szczęściem i mocą: kochankę i ojczyznę. Pierwszą zmuszono do poślubienia człowieka, którego nie kochała; druga, spętana, shańbiona, cierpieć musiała gwałty i poniżenie od Moskwy i zaprzędanych jej Polaków. Polacy prawi, wysoko swą godność ceniący, znieść nie mogli tak obydne widowiska. Pułaski udał się do Ameryki, śmierci tam szukać — Kościuszko, śladami jego, po toż samo podążył“...

Ostatni — dodajmy — zamiast śmierci, znalazł tam nieśmiertelność. Gdyby to nie było paradoksem, powiedzielibyśmy, że los pozwolił mu zdobyć dwie nieśmiertelności: jedną za oceanem, drugą we własnym kraju. I tam i tu wznieść mu miano samoistne, niezależne od siebie pomniki.

W pięknym, wzniośle nastrojowym obrazie odmalował autor „Dziejów Francji“, „Biblii Ludzkości“ i wielu innych arcydzieł, pierwszą miłość Kościuszki. Dość byłoby jego opowiadanie ubrać w rymy, żeby stworzyć poemat.

A nie brak temu poematowi i wzruszającego epilogu.

Po powrocie z Ameryki, po wycierpieniu wielu bólów publicznych, które są skutecznymi lekami na dolegliwości osobiste, zwrócił się Kościuszko do swej dawnej ukochanej — wówczas już księżny Lubomirskiej — z listem, przypominającym się jej pamięci i przyjaźni. Na uczucie gorętsze już miejsca między nimi nie było.

Dawna Ludwika Sosnowska odpowiedziała w tonie jaknajzyczliwszym, wyraziła hołd bohaterowi, zapewniła go, że na jej przyjaźń zawsze liczyć może.

Zawiązana korespondencja trwała przez lat blisko trzydzieści — dozwolona przez męża, który szanował to tkliwe, idealne uczucie.

Gdy życie Kościuszki dobiegało już do kresu, nadszedł list od Ludwiki, odmienny od wszystkich poprzednich. Donosiła w nim, że owdowiała, że jest wolną, że siebie i majątek swój ofiarowuje temu, którego nigdy kochać nie przestała, — że wreszcie wybiera się do Szwajcarii, aby się z nim połączyć.

Przybyła w kilka miesięcy później — i zastała Kościuszkę na łożu śmierci.

Taki piękny, romanse trubadurów i ballady romantyków, przypominający poemat, opowiedział prozą Michelet. Twórcą jego nie był: motywy dostarczyły mu źródła drukowane i ustne tradycje.

Fragmenty Micheletowskiego poematu, z mniejszym artyzmem opracowane i z mniejszą ekspresją wyrażone, znajdujemy w wielu polskich biografjach Kościuszki. Treść główna podawana w nich jest z różnymi warjantami. Widzi się z nich, że poetyczna opowieść o „nieszczęsnym Tadeuszu i Ludwiki afekcie“ krążyła długi czas po kraju, z ust do ust — często pewnie pod największym sekretem — podawana, i że w tej długiej wędrówce urabiała się coraz inaczej, zatracając częściowo swe zarysy pierwotne, zawsze jednak z zachowaniem powabnej, prowansalsko-romantycznej barwy.

Ale jednocześnie z tą wersją powtarzano — najpierw pocichu, potem coraz głośniejszą — inną, znacznie mniej piękną i poetyczną, a co gorsze: stawiającą Kościuszkę w świetle gorzej, niż dwuznacznem.

Tę drugą wersję, będącą jakby trawestacją tamtego poematu, zapisał w całej rozciągłości

współczesny bezimienny pamiętnikarz, którego zapiski wydał z rękopisu Kraszewski p. t. „Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta“.

Ciekawy jest ten pamiętnik i do epoki Stanisławowskiej oraz nieco późniejszej przynosi wiele ważnych, skądinąd nieznanych przyczynków. Na nieszczęście tak w nim pomieszano prawdę ze zmyśleniem, bezpośrednią obserwację z zasłyszana pogłoską, że mógłby się zwać równie dobrze:— plotkarskim, a nawet — skandalicznym.

W przedstawieniu bezimiennego pamiętnika, stosunek Kościuszki z Ludwiką nie jest ani wielką miłością, ani miłością wogóle, nie jest nawet „romanssem“, z którego ułożyćby można efektowną nowieść. Jest to pospolita, brzydka etycznie miłośćka, albo, wyrażając się językiem ówczesnym, „awantura miłosna“ w stylu Casanowy.

Zanim powtórzymy w skróceniu opowieść pamiętnikarza, zwrócić musimy uwagę na pewną, osobliwą zaprawdę okoliczność. Prawda omawiana bywa najczęściej krótko, treściwie, w zarysach najogólniejszych, natomiast plotka—przedewszystkiem zaś plotka warszawska — odznacza się zawsze drobiazgiem, misternem wykończeniem i jest opracowana prawie po literacku. Tak właśnie dzieje się ze szkłem, które nieuczciwy kupiec chce sprzedać za kamień szlachetny: posiada ono „szlif“ staranniejszy, niż prawdziwe brylanty.

W obszernej relacji pamiętnikarza, Kościuszkowski występuje jako marnego gatunku uwodziciel, panna, nazwana niby dyskretnie a niedyskretnie „wojewodzianką N.“, jako wszelkich zasad moralnych pozbawiona gaska, a jakaś madame Schmidt, przełożona pensji, jako kwalifikująca się do sprawy kryminalnej kuplerka.

„Pani Schmidt — opowiada ów, niewiadomo czy z krańcowym cynizmem, czy ze zdumiewają-

cą naiwnością — podobała sobie powierzchowną układność, grzeczność, obyczajność (napisano wyraźnie: obyczajność!) młodego Kościuszki, a ten swą skromną (wyraźnie: skromną!) wesołością — coraz gorętszą miłość panny wojewodzianki pozyskiwał. Jak się to stało, nie wiem (niezrównane jest to wyznanie, choć znów zapytać musimy: naiwność czy cynizm?), ale przyszło do bardzo bliskich stosunków, które z narady wspólnej, uważano za jedyny środek skłonienia rodziców panny do tego małżeństwa“...

Zupełnie jakbyśmy czytali *Memoires de Jean Jacques Casanova de Seingalt*.

Do budującej imprezy, w której przyjęło udział troje godnych siebie nawzajem osób, załączono niebawem osobę czwartą. Był nią książę Adam Czartoryski, generał Ziemi Polskich.

Przyszła chwila, gdy tajemnica ukryć się dłużej nie dawała, więc odkryto ją przed tym dostojnikiem, jako opiekunem i dobroczyńcą Kościuszki, „zebrząc jego rady, a raczej protekcji i pomocy“ — choć, dodajmy, zgola kto inny był tu potrzebny.

Rada księcia była równie prosta, jak licująca z jego dostojenstwem, cnotą i charakterem. Książę poradził Kościuszce, aby pannę (francuz postawiłby tu znak zapytania) z pensji zacnej madame Schmidt wykraść i uciekł z nią do Galicji. Tak się zaś sam do tego pięknego projektu zapalił, że dał Kościuszce urlop, zaopatrzył go suto w pieniądze i wręczył mu list do swego komisarza dóbr Sieniawskich. ..aby tam młoda para pod ukrytem(?) imieniem ślub wzięwszy, czas niejaki przesiedzieć mogła, dopóki wojewody nieprześlągano“.

Można tu już było na tem ową cynicznie nawiąną fantazję zakończyć — pamiętnikarz jednak,

tworząc czy też powtarzając powiastkę, musiał jeszcze do niej kilka nowych dorobić rozdziałów.

Więc dowiadujemy się z jego relacji: jak to „agent wojewody“ wysłany do Warszawy w celu pochycenia uwodziciela wojewodzianki, „osobliwszym trafem (wszystko w tym pamiętniku jest „osobliwsze“) spotkał samego Kościuszkę, na dole przy pierwszych schodach wartę odprawiającego“, jak to Kościuszko — występujący tu w roli skończonego franta i filuta — zwachawszy o co chodzi, przedstawił się kadetowi jako Rembeliński i przyrzekł mu czynną pomoc w schwytaniu i uwięzieniu Kościuszki; jak to Kościuszko, nie poprzestając na figlu, posunął się do niegodziwości i za rzekomą pomoc kazał sobie zapłacić sto dukatów, jak to ów agent w „traktyjerni na Rydzyńcu“ (przy ulicy Trębackiej), dokąd mniemany Kościuszko obiecał przybyć, napróżno, do samej północy, na niego czekał; jak to w tym samym czasie Kościuszko „porwał płaszcz kolegi, jaki mu się nadarzył, włożył kapelusz okrągły, pobiegł do pałacu księcia (Czartoryskiego), wdział garnitur przygotowany do podróży i z biletem gotowym księcia udał się na pocztę, wziął konie i jeszcze przed godziną pół do drugiej wyjechał z Warszawy“, jak to wreszcie „ów przysłany i w pole wyprowadzony jegomość, wzięwszy pannę wojewodziankę z Warszawy, smutny do swego pana powrócił“.

Możnaby uśmieć się z tej anegdoty, gdyby nie potraçała o rzecz bardzo poważną: o cześć narodowego bohatera. Przytem bardzo smutne świadectwo wystawia ona ówczesnemu społeczeństwu, które mogło tak zapoznawać i wykrzywiać charakter swego wodza duchowego.

Kościuszko dzielił w tym wypadku los księcia Józefa, któremu potomność ołtarze wznosi, a współcześni szarpali go skrytem oszczerstwem

i jawną zniewagą, a w pewnej chwili wyrwanymi z bruku głazami ukamienować chcieli.

Obaj mieli wrogów, bo ich ma każde bohaterstwo, każda wielkość intelektualna lub moralna. Ten sam warszawski *vox populi*, który księcia Józefa okrzyknął rozpustnym wartogłowem, uczynić chciał z Kościuszki uwodziciela nieletnich pensjonarek, przebiegłego franta i szantażystę.

Historyk, czy potoczny opowiadacz, gdy będą odtwarzali obyczajowe i etyczne oblicze Warszawy, o tym jej rysie znamionym pamiętać powinni.

Przedstawiliśmy dwie, zasadniczo różniące się opinie, jakie wydała przeszłość o miłości Kościuszki dla wojewodzianki Sosnowskiej. Obok nich staje trzecia, najnowsza, wydana przez chłodną, przedmiotową, analizującą krytykę historyczną.

Krótko i radykalnie załatwiła się ta krytyka ze sprawą, która przez całe stulecie we wszystkich czulszych sercach tak sympatycznie budziła echo. Problem, niemałej dla nas wagi, bo dotyczący serca wielkiego człowieka, jednym zamachem pióra został przez nią przecięty.

— Kościuszki z Ludwiką Sosnowską—oświadczyła — nie łączyło żadne uczucie, któreby choć zdaleka przypominało miłość. Nawet przyjaźnią ten stosunek nie był. Ograniczało się wszystko na prostej znajomości, wynikłej stąd, że ojciec panny był protektorem młodego Kościuszki i że Sosnowice, rezydencja wojewody, leżały w sąsiedztwie Siechnowic, których Kościuszko był współwłaścicielem, i w którym w owym czasie kilka tygodni czy miesięcy przemieszkał.

Według tej krytyki, legenda o miłości Kościuszki z dwóch powstała powodów. Pierwszym był: książkowy, literacki nastrój społeczeństwa.

„Umysły wychowane w bezczynności, na dożywotniej kontemplacji powieściowych romansów życie spędzające, lubują się w wydarzeniach pachnących powieścią, a gdy gdzieś wynajdą temat do romansu, uważają sobie za punkt ambicji niejako rzeczy tak cennej nie zmarnować. Nie zmarnowano też znajomości Kościuszki z panną Ludwiką Sosnowską... Wychodziło się z założenia, że wielki człowiek musi mieć w swem życiu romans uczuciowy; bo inaczej — nie dostawałoby mu czegoś! Literackie pokolenia osądzały życie na miarę literacką, a wielkich ludzi zaczęto już traktować na równi ze średniej miary literatami, którzy dla wywyższenia siebie potrzebują aureoli jakiejś romansej miłości“.

Każde z tych zdań możnaby opatrzyć znaczące omawianą legendę literackimi? Kto, kiedy kim zapytania. Byłż naprawdę pokolenia twoi i gdzie średniej miary literatów poczytywał za wielkich ludzi? Czy zajmował się świat serdecznie mi sprawami owych średników, czy też wyłącznie — arcymistrzów literatury?

Odpowiedź na te wszystkie pytania wypaść musi przecząco.

Pokolenie współczesne Kościuszce, choć wydało kilka utalentowanych twórców, reprezentujących w piśmiennictwie epokę tak zwaną „Stanisławowską“, pomimo największych w tym kierunku wysiłków króla zajmowało się w stopniu nieskończenie wyższym polityką, niż literaturą.

W społeczeństwie naszym, nader powściągliwie zachowującym się względem literatury i literatów, tytułem „wielkiego człowieka“ nie darzono nigdy pisarzy nie tylko średniej lecz nawet wysokiej miary. Otrzymywali ten tytuł prawie wyłącznie zwycięscy wodzowie, albo oddani sprawie narodowej politycy i społecznicy. Tamtych w naj-

lepszym razie nazywano „wielkimi“ lub „genjalnymi pisarzami“.

Żaden poeta i wogóle pisarz drugorzędny nie doświadczał tego zaszczytu — jeśli to zaszczytem nazywać można — żeby jego współczesnych lub potomnych zaciekawiało pytanie: czy on kochał? i kogo kochał? Natomiast, z drażniącą nierzadko zaciekłością dobadywano się tajemnic sercowych koryfejów literatury, arcymistrzów, genjuszów. Nie pomniejszyło zaś to ani o ćwierć cała tych ostatnich, gdy ogłowi stało się wiadome, że jeden ubóstwiał nie wartą tego pannicę, która zapewniała go, że zawsze będzie przez nią... wspomniany, rękę zaś oddała bogatszemu odeń zalotnikowi; że drugi zapłonął świętym pierwszej miłości ogniem dla osoby starszej i zalotnej, która ślubowała już miłość rosyjskiemu oficerowi, a potem, ciała jego na pobojowisku szukając, natknęła się na sturczonogo polaka i po wrogu ojczyzny oddała rękę re-negatowi; że trzeci, chwycony we wczesnej, naj-gorętszej młodości przez podstarzałą syrenę, z trudem wielkim, i dopiero przy pomocy doświadczonego rodzica, z objęć jej się wyrwał, żeby zawrzeć spokojne i stateczne „małżeństwo z rozsądku“.

I Kościuszcze przeto żadnej ujmę nie przynie-sie legenda o stosunku miłosnym łączącym go z piękną i inteligentną wojewodzianką. Jeśli stosu-nek zakończył się dramatem, to — tem gorzej dla jego bohaterki, lecz — tem lepiej dla bohatera.

Stosunek z Marylą, choć nie stworzył genju-szu Mickiewicza, przyśpieszył jego rozkwit i na-dał mu pewne specyficzne, romantyczno-melan-cholijne zabarwienie. Stosunek z Ludwiką przyś-pieszył, a może pośrednio i spowodował wyjazd Kościuszki do Ameryki i wpłynął rozstrzygająco na dalsze jego życia koleje.

I w Ludwice i w Maryli dopatrywać się można

poniekąd medjów, służących tym dobrym duchom, które opiekowały się ich „nieszczęsnymi“, według opinii światowej, kochankami. Wpływ obu tych kobiet na sprawę ogólną był dobroczynny. Nie wiedząc o tem, spełniły ważną w skutkach misję.

Nie podnosząc ich zasług mimowiednych i mimowolnych, musimy w każdym razie liczyć się z obiema i miejsce im widoczne wyznaczać. Nie wolno też nam potępiać ich za to, że odrzuciły (a przynajmniej do odrzucenia skłonić się dały) ofiarowane im a tak bardzo dostojne, iście królewskie serca. Gdyby stało się przeciwnie, gdyby Maryla została panią Mickiewiczową a Ludwika Kościuszkową, na losach naszej wielkiej poezji i naszego narodowego bohaterstwa odbiłyby się to podobno ujemnie.

Nie wypada też nam potępiać jednej i drugiej za to że, poślubiwszy innych, wracały myślą do pierwszej, w granicach idealnych zamkniętej miłości i że się tą miłością chwaliły. Jeśli to była pycha, to w rodzaju bardzo podniosłym i szlachetnym. Dowiodły tem, że umiały cenić właściwie to, co wysokiej ceny było warte, a co nie zupełnie z własnej utraciły winy.

Dla mężczyzny wielkim jest niezawodnie tryumfem zdobyć serce i ciało kobiety, błędnie jednak ten tryumf wobec podboju jej duszy, zapanowania nad myślami, zdobycia trwałego uwielbienia.

Jeśli śluby małżeńskie wiążą kobietę do śmierci, ta druga, uduchowiona miłość, poza grób sięga, przez wieczność trwa. I staje się wówczas rzecz prawdziwie cudowna, z pod wszystkich ziemskich, światowych praw zwycięzko się wyłamująca. Małżeństwo okazuje się sprawą czasową, przemijającą, związek duchowy — nieśmiertelną.

Eleonora wraca do Torquata Tassa. Laura do Petrarki, Maryla do Mickiewicza, Ludwika do Kościuszki. Historia łączy te pary na wieczność. W pamięci ludzkiej zacierają się i całkowicie nikną: małżonek księżniczki d'Este, imćpan Flugon de Sade, hrabia Puttkamer, książę Józef Lubomirski.

Krytyce historycznej, która legendę o miłości Kościuszki próbuje dziś unicestwić, wiary dać nie możemy. Nie możemy ze względów formalnych i ze względów ideowych.

Dla nas listy księżny L., nie pisane dla ogółu, nie przeznaczone do druku, lecz wyjawiające najtajniejsze uczucia prywatnie, więc szczerze, świadczą nie przeciw legendzie, lecz za legendą.

Jeśli księżna w czternaście lat po znajomości z Kościuszką, a zatem już jako niewiasta dojrzała, pisze, językiem i stylem drugiej połowy wieku XVIII: *il etait le premier, qui eveillait en moi le sentiment de sensibilité* — poświadcza tem wyznaniem, że była kochaną i kochała. Albowiem nie można tych słów rozumieć inaczej, jak tylko w tem znaczeniu, że Kościuszek zbudził w niej serce, czyli: kochać ją nauczył.

Księżna w tychże listach nazywa swego Tadeusza „filozofem“. I to określenie tłumaczyć należy w sensie owej epoki, a więc nie sądzić, że Ludwika widziała w swym towarzyszu jedynie madrego sensata, którego rozum i szlachetność mogły budzić podziw lecz nigdy uczucia serdeczne.

„Filozof“ pod piórem księżny znaczył tyleż, co: człowiek inteligentny i poważny. Sama, tłumacząc we wczesnej młodości z francuskiego traktat agronomiczny, dała mu taki tytuł: „Sokrates-wieśniak albo Opisanie życia gospodarskiego i cnotliwego Filozofa rolę bawiącego się“. W tej książeczce rzekomy „filozof“ w żadne dociekania abstrakcyj-

ne nie bawi się, lecz tylko rozsądnie i zabiegliwie gospodaruje.

Rozum i stateczność zalotnika pewnieby do zakochania się nie wystarczyły bardzo młodej panience — lecz Ludwika Sosnowska w roku 1775 bardzo młodą panią nie była.

Nie znamy metryki wojewodzianki, lecz na podstawie wspomnianej przed chwilą książki, możemy twierdzić, że w owym roku liczyła około 27 lat, była zatem prawie rówieśnicą Kościuszki, czynającego wówczas rok dwudziesty dziewiąty. Książka wyszła z druku (w Warszawie w drukarni J. Królewskiej Mości y Rzplitey Coll. Soc. Jesu) w roku 1770 pozwolenie zaś na druk przez biskupa Młodziejowskiego wydane, nosi datę 9 czerwca 1769 roku. Tłómaczyć do druku, posługując się przy tem poprawną, wyrobioną polszczyzną, nie może podlotek, lecz panna, która już „edukcję” ukończyła, a więc dobiegająca lat dwudziestu.

Dotychczasowi monografiści Kościuszki na tę okoliczność uwagi nie zwracali, a jednak ona wiele wyjaśnia. Serce dziewicze, które do dwudziestej siódmej wiosny życia spało, budzi się z trudnością, lecz po przebudzeniu gwałtownym wybucha płomieniem. Przebudzić zaś także może tylko człowiek, łączący z młodością powagę i moc duchową dojrzałego męża. Takim człowiekiem był właśnie dochodzący do lat trzydziestu Kościuszko.

Był też już wówczas — jak słusznie zauważył Michelet — tem, czem się miał światu później dopiero objawić, to jest bohaterem. Był nim wprawdzie tylko *in potentia*, lecz kobieta kochająca — a za taką uważamy Ludwikę — sercem jego przyszłą wielkość odgadła. I okazała się w tem wyższą od innej Ludwiki, która w pół wieku później, w płomiennych oczach oświadczającego się jej „Julka” nie była zdolną dojrzeć przyszłego geniusza.

Zauważmy w końcu, że legenda jest sama przez się piękna i tradycja całowieczna utrwalona — z tego więc już choćby powodu, i z uwagi na to, że nikomu szkody ani ujmy nie przynosi, powinna być pozostawiona w spokoju.

W kilkanaście lat po stracie Maryli, zbolełe serce Mickiewicza znalazło cichą ostoję w małżeństwie. W kilkanaście lat po stracie Ludwiki, również zbolełemu sercu Kościuszki ukazała się w dali takąż sama ostoja, lecz jak Mojżeszowi do Ziemi obiecanej, wstąpić do niej nie było mu sądzone.

Tej jego drugiej miłości, już nie młodzieńczo szalonej, lecz rozważnej i głębokiej, miłości czterdziestopięcioletniego mężczyzny, dążącego do stworzenia własnej rodziny i znalezienia wśród niej słodsze go nad wszystko spokoju — było na imię Tekla.

Panna Tekla Żurawska, córka chorążego Żydaczowskiego i prezesa, uosobiała typ podolskiej urodziwej czarnobrewki. Miała lat zaledwie siedemnaście, kruczą obfitą kosę, płeć jak krew z mlekiem, wyraz twarzy zarazem namiętny i melancholijny. Płochości, trzpiotostwa, tak właściwych temu wiekowi, nie było w niej ani śladu. Był natomiast przedwczesny nieco rozsądek.

Znajomość została zawarta w małym podolskim miasteczku Międzyborzu, dokąd prezes przybył na kilka miesięcy z rodziną dla przeprowadzenia kuracji swej żony pod okiem miejscowego lekarza i gdzie jednocześnie stanął kwaterą „jenerał” Kościuszko z przybocznymi oficerami.

Kościuszko podbił serce panny prawie nie starając się o to. Przemyśliwał on w tym czasie o małżeństwie, lecz z pewnością w jego planach nie leżało łączyć się ślubami dozgonnymi z siedemnastoletnim dziewczątkiem.

Jak ptakom niektórym, tak i kobietom, zwła-

szcza tak młodym, jak była wówczas Tekla Żurawska, trzeba na przynętę błyskotek. Kościuszko nie był młody, nie celował też urodą — posiadał natomiast dwie inne błyskotki: aureolę sławy zdobiącą mu czoło oraz jeneralską rangę i jeneralski mundur. Dosiadał też zawsze pięknego, tureckiego konia i jeździł otoczony błyszczącym sztabem.

Nie zbywało mu też na innych zewnętrznych przymiotach, których suma zjednywała u kobiet dla mężczyzny pochwałę: „miły“, u mężczyzn dla kobiety: „miła“. Jest to walor niższego stopnia, wyobrażający poniekąd surogat tych przymiotów zasadniczych, które wprawiają obie płcie w boski szal miłości.

Kościuszko nie był przy kobietach ani „nadszakującym“, ani sentymentalnym, gdyż to nie zgadzało się z jego charakterem i nie odpowiadało jego wiekowi i stanowisku; był natomiast uprzejmy, usłużny i serdeczny. Te zalety nie oczarowałyby pewnie same przez się „Teklusi“, podbiły wszakże serce jej matki, co w tych wypadkach stanowi często połowę wygranej. Chorążyna była zachwycona młodym — jak na swą rangę — jenerałem, i osądziła, że bez wszelkiej obawy oddać mu może córkę.

Wszystko układało się pomyślnie dla Kościuszki, który przez czas długi o swem szczęściu nie wiedział, ani mu dowierzał — choć mógł był je wyczytać w oczach Teklusi, głębiej w nie zajrzawszy.

Gdy go jednak ośmielono i dano do zrozumienia, że porażki obawiać się nie potrzebuje, załatwił sprawę po żołniersku: prędko, energicznie i poprostu. Wyznał swe uczucia córce, otrzymując wzamian spojrzenie przyzwalające; powtórzył oświadczyzny przed matką, która również zyczliwie je przyjęła.

Wszystko zdawało się wskazywać blizkie otrąbienie zwycięstwa.

Pozostał jeszcze ojciec... ale kiedyż to ojcowie odmawiają kontrsygnowania wyroków podpisanych przez żonę i córkę.

O panu prezesie Żurawskim, chorążym Żydachowskim, oraz o jego opinjach matrymonialnych i politycznych niewiele wiemy. Panowały wówczas wśród obywateli jednego kraju, jednej prowincji i jednej klasy społecznej nadzwyczajne pod tym względem różnice.

Był to rok 1791 — w dziejach Polski przełomowy. Konserwatyści — a tych nigdy w kraju naszym nie brakło — podejrzliwie zachowywali się wobec radykalnych przewrotów dokonywanych w Warszawie. Partja przeciwna Konstytucji i reformie, na Podolu liczniejsza i silniejsza, niż gdzie indziej, podniecała opozycję, rozżarzała niechęć i jeśli nie głośno, to szeptem, wyrażała protest przeciw walce orężnej z Rosją.

Niewiadomo, co o tem wszystkim sądził pan prezes — był to wszakże szlachcic starej daty, starego autoramentu, wszelkie nowinki trudny znajdowały dostęp do jego duszy, już na dawną modłę stężałej.

Cokolwiekby, ojciec Tekli znacznie chłodniej od córki i żony zachowywał się względem Kościuszki. Był mu niby to rad, gościnnie go u siebie przyjmował, gdy jednak w kółku rodzinnem o generale i jego zalotach rozmowa szła, milczał, czoło marszczył, siwego wąsa na dół pociągał...

Z początku zresztą wydawał się tylko zakłopotanym, wahającym się, szukającym w myślach własnych i w gawędach z obcymi rozwiązania zawilej dlań sprawy.

Kościuszeko, który przywyknął już nazywać chorążynę „matką“, próbował niekiedy tytułować

jej męża „ojcem“. Nie oponował, lecz z afektem ojcowskim nie śpieszył się i tylko, w bok patrząc — milczał.

Tymczasem szatan, wszelkiej harmonji w stosunkach ludzkich nienawistny, sprawy nie zasypiał.

Pewnego dnia milczący zagadkowo chorąży ocknął się z apatji i swym kobietom oświadczył wręcz, że nie życzy sobie mieć Kościuszki za zięcia. Nie chciał powodów rzeczywistych wyjawić — po dłuższem nagabywaniu oświadczył niewyraźnie.

— Bo... bo generał jest szalapat i awanturnik. Przed czternastu laty wojewodziankę Sosnowską z domu rodzicielskiego wykradał. Jest także kłamacza, zwodziciel i w dodatku — hołysz. Mówił o jakichś swoich wsiach dziedzicznych na Litwie — aż tu okazało się, że ani piędzi ziemi tam nie posiada.

Chorążyna i Teklusia struchlały. Córka łzami się zalała; matkę silne wzruszenie o ciężką słabość przyprawiło. O późnej nocy wzywano do niej lekarzy; przez czas długi ze śmiercią walczyła.

Pozostało zagadką: kogo szatan w tej sprawie za narzędzie użył.

Jedni twierdzą, że jakiś „przyjaciół“ w całym szeregu listów anonimowych czernił przed Żurawskim Kościuszkę, obrzucając go błotem najbezczelniejszych oskarżeń. Według innych, do prezeasa przybył goniec umyślny z Warszawy, od Stanisława Augusta, który niechętnie usposobiony względem „amerykanina“ (tak Kościuszkę na dworze królewskim nazywano), chciał za jednym zamachem popsuć szyki i jemu i prowadzonej przezeń akcji wojennej.

Tekla nie uwierzyła potwarzy. Jej serce szlachetne i przez miłość dojrzałe, odtrąciło ze wzgardą oszczerstwo na ukochanego człowieka rzucone.

Rządząc się dziewczęcym zamiłowaniem prawdy i szczerości, za pośrednictwem zaufanej przyjaciółki zawiadomiła o wszystkim Kościuszkę.

Bohater odpowiedział listem, do pani Żurawskiej adresowanym, który tu *in extenso*, bez żadnych zmian i poprawek stylowych przytaczamy. Dokument to ciekawy, pozwalający wniknąć głębiej w życie i psychikę Kościuszki.

Ponieważ w szkicu niniejszym więcej tych listów się znajdzie, wypada dołączyć mały do nich komentarz. Bez niego forma korespondencji Kościuszkowskiej wyda się niejednemu dziwaczną i niepocholebnie o jego zdolnościach językowych świadczącą.

W czasie i w warunkach, gdy nasz bohater studja naukowe odbywał, polszczyzna znajdowała się w stanie opłakanym. Krępowały ją wiezy łaciny i języka francuskiego, a brak ustalonych prawideł gramatycznych był powodem zwiększającego się z roku na rok jej zwyrodnienia. Prócz tego, język wojskowy, oddzielną terminologję posiadający, zaśmiecała niemczyzna, jako pozostałość po smutnych dla kraju rządach saskich. Wreszcie, co dotyczy specjalnie Kościuszki, wieloletni pobyt jego w Ameryce i posługiwanie się niemal wyłącznie językiem angielskim musiały w sposób nieunikniony zaszkodzić mu we władaniu mową ojczystą.

Więc pobłażliwie sądzić trzeba jego niektóre, niezupełnie poprawne, zwroty i wyrażenia, szukając pod twardą i niekiedy aż chropowatą łupiną ziarna pięknej myśli i gorącego, a zawsze szlachetnego uczucia, i pamiętając, że narzędziem jego ducha nie pióro było, lecz żywe słowo i szabla.

Oto jak zacnie odparował bohater cios, który jego honorowi i jego osobistemu szczęściu ludzka podłość zadała:

„Nie mogę, Bóg widzi, nie mogę zamilczeć, bo co słyszę, czytam, piorun we mnie uderzył. Względem plotków można się zaspokoić: rotmistrz Potocki, który jest tegoż województwa ze mną, może zaświadczyć, że mam dziedzictwem wieś i trzymam ją. Nie każesz mnie pisać, moja matusiu, znać, że już po wszystkim, znać że się nakłoniła, do perswazyi, znać że już i od niej oddalony na zawsze zostaje, znać, że prędko o swej przyjaźni zapomniiała. Czynię z rozkazu zawsze matki mojej i jej, która zawsze w mem sercu będzie. Już nie będę pisywać, nie będę i bywać, aby trucizną wzrok jej dla mnie nie był. Nie będę już w domu waszym, bobym sobie przypomniał okrutność losu mego. Niechże was zawsze jednak Opatrzność Najwyższa błogosławi. A więcej już i pisać nie mogę“. — Tadeusz.

Gdy się o lekkich stylowych usterkach zapomni, ze wzruszeniem i podziwem odczytuje się to czcigodne pismo. Wzruszenie wywołuje głęboki ból, tający się w słowach prostych; podziw budzą tony liryczne, tkliwe, z pozoru tak sprzeczne z charakterem wielkiego bohatera i wojownika. A ostatni zwrot o „Opatrzności Najwyższej“ iakże nie zwykle brzmi w ustach dziecięcia XVIII wieku! iakże rozrzewnia swą głęboką, prawdziwie chrześcijańską rezygnacją i wzniosłem, prawdziwie chrześcijańskim przebaczeniem urazy!

Serce Kościuszki widzimy tu, jak na dłoni.

Słowa, które ze szczerego uczucia wypłynęły, chorążyna równie szczerem przyjęła uczuciem. Choć bardzo jeszcze słaba, nakreśliła słów kilka, które pośrednik doręczył generałowi.

Nie był zaś byle kto tym pośrednikiem. Dość wymienić nazwisko: Karol Kniaziewicz.

Przyszły generał, który w dziejach Legjonów nieśmiertelną zdobyć miał dla siebie sławę, skończył niedawno warszawski Korpus kadetów w stopniu bombardjera. Niebawem otrzymał szarżę oficerską w pułku fizyljerów, w roku zaś 1791 należał do sztabu generała Kościuszki.

Młody był jeszcze oficer, z sercem spragnionem miłości, jak kwiat rosy.

W tym samym Międzyborzu, w tym samym kółku rodzinnem Żurawskich, znajdowała się wówczas druga „Teklusia“. Orlewska, krewna, przyjaciółka i powiernica chorążanki. W niej rozmawiał się młody sztabowiec i wzajemność pozyskał.

Przebywały więc tam jednocześnie dwie pary rozkochane, mogące uważać się, choć bez formalnych zaręczyn, za narzeczonych. Podolska, bujna, urocza, we wszystkie klejnoty wiosny przystrojona przyroda ujmowała te dwie sielanki w bogatą, wykwieconą, wysłonecznioną ramię. Późnymi wieczorami, gdy kochankowie szepcząc wyznania i zaklęcia, bładzili — w towarzystwie „starszych“ naturalnie — po ciemnym ogrodzie lub po zalanych światłem księżyca jarach, miasteczko pierścieniem zieloności okalających, całe chóry słowików śpiewały im Salomonową „Pieśń nad pieśniami“.

Pograżonemu w głuchej i niemej rozpacz Kościuszce przyniósł pośrednik wieść pocieszającą. Pod jej uzdrawiającym wpływem, napisał generał list, spokojniejszy już w tonie. Zaadresował go „Do dwóch Teklusiów“.

Obie w ustronnym zakątku ogrodu odczytały go z bijącym sercem. Każdą radość i każdy smutek jednej podzielała w całości druga.

List brzmiał:

„Nie wiem do kogo mam pisać: czy do pierwszej Teklusi, czy do drugiej; ale to

wiem, że pierwszą Kocham, a drugiej największym jestem przyjacielem. Obiedwie mnie coś wyrzucają, do czego nie czuję się. Do pierwszej sposobności nie miałem pisać, i przez Kniaziewicza teraz odpisuję; druga oskarżać siebie powinna, że w zapomnieniu puściła przyjaciela tak dobrego.

Powiadają mi, że Orlewska dobrodziejka już się zapatrzyła na jednego, i ten zranił jej serce do miłości.

Teklusi! Gdy będziesz pisać, przyśle mi razem jeden koral z szyi twojej.

Niech Opatrzność w płaszcz szczęścia zupełnie obwinie ciebie, a o mojej stateczności, szacunku, uszanowaniu bądź zawsze przekonaną. — Tadeusz“.

Listy na przebieg sprawy wpłynęły pomyślnie. Kobiety pozbyły się wszelkich podejrzeń i połączone siłami zabrały się do przeciągnięcia przesa na swoją stronę. Żurawski zaniechał ostrych protestów i powrócił do dawnego kunktatorstwa i dawnego milczenia.

Teraz już partja generała, do której, prócz niego samego i czterech kobiet (do dwóch „Teklusiów“ i przesowej, przyłączyła się siostra Żurawskiego, panna doletnia, lecz „nie dająca jeszcze za wygraną“) działa w porozumieniu. Na jednym z walnych posiedzeń partji uchwalono, że Kościuszkowski ma przesowi formalne oświadczenia na piśmie.

Bruljon oświadczenia przedstawiony został panie Tekli, a po uzyskaniu jej aprobacji, wysłany do Żurawskiego przez Kniaziewicza.

Ten dokument, ściśle według przyjętych form zredagowany, retoryczny i bezosobisty, posiada wszystkie znamiona lubującej się w takich sztywnych frazesach epoki, i nie wyraża nic,

w czymby się osobiste uczucia i myśli piszącego odbijały.

„Do Jaśnie Wielmożnego Chorążego.

Od JW. Pana zawiśł mój los; w Jego ręku uszczęśliwienie moje.

Zapewne poznajesz, JW. Panie że ko-
cham JWielmożną Chorążankę, a że chciał-
bym być Jej przyjacielem dozgonnym, Je-
mu się zwierzam.

Znam sentymenta Jego, charakter i spo-
sób myślenia; zupełnie się spuszczam na Je-
go układ, wolę, urządzenie.

Wiem, że uszczęśliwiając jedną osobę,
nie zapomnisz o drugiej.

Jeżeli pozyskam Jego aprobatę,
a która z pierwszego poznania, wraziwszy
w sercu mojem winne Mu uszanowanie,
chciałaby przydać przywiązanie synowskie
aż do śmierci — nie omylisz się JW. Pan
Dobrodziej w niej w niczem.

Zawsze otwartość z prawdą idzie. Nie
obojętność albo uleganie okoliczności, ale
wdzięczność w każdym czasie, nieprzerwa-
nie, za dobrodziejstwo Jemu okazane bę-
dzie“.

W milczeniu odczytał stary szlachcic list je-
nerała, i milczeniem nań odpowiedział. Członkom
„partji“ wydało się to dobrą wróżbą. Uparty prze-
ciwnik Kościuszki widocznie zachwiał się w swych
przekonaniach — rozmyśla — siebie samego kry-
tykuje — przy odpowiednim nacisku ze strony
kobiet da się ostatecznie przejednać...

Przyjaciele Kościuszki i on sam pozyskali nie-
spodzianie posiłki w gościach przybyłych do Mię-
dzyborza ze stolicy. Jako świadomi spraw publicz-
nych i „bliżsi wielkiego ołtarza“, przedstawili oni
Zurawskiemu jenerała w świetle prawdziwym,

a więc bardzo dla niego zaszczytnem. Choraży zaczął się rozchmurzać i życzliwszem okiem na konkurenta spoglądać.

O tym pożądanym zwrocie natychmiast poczta fartuszkowa interesowanemu doniosła. Gołębie serce Kościuszki rozkwiliło się i w serji tej jego korespondencji znalazł się liścik tak miękki i nawiwnie pocziwy, jakby go kreśliła ręka, nigdy szablą i pistoletem nie władająca.

Są w tym liściku wyrażenia aż rażące nas swem zaparciem i jeśli nie gminną, to przynajmniej zaściankową prostotą.

Miłość Kościuszki musiała być niezwykle gorąca i wyłączna, jeśli mógł swą wielką, bohaterką duszę, z tak zupełnem o swej randze wysokiej zapomnieniem, kłaść pod stopy czarnookiej, ledwie rozkwitłej dziewczyny.

Pospolitym jest symbolem Wenus rozbrajająca Marsa — wolelibyśmy jednak nie widzieć Kościuszki aż tak nisko czoło przed nią schylającego.

Nie stoją na wysokości genjuszu Kościuszkowskiego takie, kruchcianym stylem wypowiedziane życzenia: „Niech niebo matkę i córkę błogosławi... niech i ojca, chociaż nieprzyjaznego mnie, szczerem zleje bogactwem zdrowia... Niech Matulce i jej Teklusi szczęście zawsze jak najlepsze służy... dla jej dobra niech się wszystko stanie podług jej życzenia i myśli“...

Mówiż to nieustraszony rycerz, świetny strateg, bohater z pod Savannah, Raclawic, Maciejowic, czy — potulny braciszek klasztorny, jasnie wielmożnym państwu za sutą kolendę dziękujący?

Z potulnością i niedocenianiem siebie samego łączy się również nie rycerska i nawet nie trubadurowa rezygnacja. Rycerz lub trubadur, ze zranionem sercem do wydartej im kochanki odchodząc, inne — hardziejsze — mieliby myśli, uczucia

i — słowa. Nie zestąpiłby żaden z nich ze swych wyżyn na płaski poziom biernego poddania się losom, jakim tchną słowa: „Żyćcie wszyscy w zgodzie, w przyjaźni, szczęśliwi — a mnie pozwólcie, abym przynajmniej zdaleka na was się zapatrywał. Wznaszam ręce z ufnością, że moja modlitwa przyjęta będzie“...

Była to tylko jedna z licznych strun, które w bogatym, harmonijnie pełnym sercu naszego bohatera Bóg nawiązał — struna najcieńsza, najwątliwsza, najrzadziej potrącana, dalekich, sielsko-anielskich lat dzieciństwa sięgająca.

Inne listy, do ukochanej pisane, stwierdzają, że Kościuszko umiał przemawiać zarazem czule i silnie, że przed kochanką mógł przykłękać, — co czynili nawet Bajardowie i Godfredowie de Bouillon, — lecz na twarz przed nią nie padał.

W tych listach spotykamy takie szeptu i krzyki namiętności, jakimi literatura miłosna swe karty naczelnie ozdobićby mogła.

„Co myślisz nawet, radbym wiedzieć — pisze do Tekli, wieścią o jej chorobie zatrwożony. — Radbym być w sercu twojem, i ciebie całą swoim sercem ogarnąć!“

„Każdy moment o ciebie niespokojnym mnie czyni. Radbym przewidział myśl twoją i zaspo-koił do ukontentowania twego“.

„Wszystek drzę z wewnętrznej niespokojności — cały mój umysł pomieszany, gorycz w mem sercu, i czuję gorączkę szarpiącą me wnętrzości“.

Miłość czyni nawet żołnierzy poetami. Następujące życzenia czyż nie wydają się kartą z „Gulistanu“ perskiego pieśniarza wyrwaną?

„Idź spać — i zaśnij w myślach tobie miłych. Przytul głowę do spokojności poduszek; okryj się pełnem duszy ukontentowaniem, a otwórz swe piersi z sercem do ucałowania przezemnie. Nad-

staw i ust choć delikatne — nie obrażę mem pocałowaniem z przywiązania“...

Powabem zupełnie romantycznym odznacza się pożegnanie w jednym z listów ukochanej przesłane:

„Oddaję ci wzajemnie, ale łzami skropione **dobranoc**. Jeszcze raz niech cię pocałuję. Odchodzę, bo w myślach zawsze przytomny jestem tobie. Daj nóżki do ucałowania. Jeszcze raz: bywaj zdrowa!“

Jakże to dziwnie przypomina sonet Mickiewicza — trzydzieści lat późniejszy:

Dobranoc! Obróć jeszcze raz na mnie oczęta.

Pozwól lica—Dobranoc!—Chcesz na sługi klasnąć? Daj mi pierś ucałować! — Dobranoc! zapięta...

Te słowa czułe a namiętne, szeptane przez Romea w noc majową poślubionej mu już Giulecie, przypadały na **apogeum** miłości Tadeusza i Tekli. Od tej daty odzywać się zaczęły w listach coraz częściej coraz mocniej nuta elegijna, która rozszerzając się i inne tony głuszając, w końcu cały stosunek osmęci, zaciemni i w mrokach żaloby zatopi.

Milczenie chorążego nie oznaczało, niestety, ustępstwa i cofnięcia złowrogiego wyroku; zewnętrzna, obowiązująca starej daty polaków gościnność i kordjalność nie była wykładnikiem rzeczywistych jego uczuć.

Może otrzymał nowe anonimy, może po naradach z bracią szlachtą stał się zdeklarowanym przeciwnikiem Konstytucji, może wreszcie wśród swojskich podolaków upatrzył kogo, co wydał mu się odpowiedniejszym na zięcia, niż zagadkowy i niezrozumiałą dlań sławą okryty litwin — dość, że podejrzliwość względem Kościuszki opanowała go całego i w rodzaj manji przeszła.

Nocami wymykał się z domu, i dokoła kwatery jeneralskiej krążył, podglądając, podsłuchując...

Wreszcie jednego dnia oświadczył swym gościom zgoła niespodzianie, że opuszcza Międzybórz i z rodziną do swych dziedzicznych Ihnatowicz powraca.

Smutne przeczucia opanowały serca kochanków. Choć im tego nie powiedziano wyraźnie, zrozumieli, że ten odjazd obliczony był na ostateczne ich rozdzielenie.

Więc znów w korespondencji Kościuszki zjawia się list niespokojny, uczuć najsprzeczniejszych pełny, wahający się między smutkiem i nadzieją, zakrywający pozorną rezygnacją rozpacz, która mu serce przepęlnia.

Czytamy w nim między innymi:

...,Nigdy a nigdy o tobie nie zapomnę. Mocno jesteś w mem sercu wrażona — odmiany nie sprawi czas i odległość. Prędzej twoje serce odmieni się widokiem młodszych, grzeczniejszych i bogatszych, jak ojciec ma nadzieję“...

Ostatnią zbyt bolesną myśl z wysiłkiem odrzuca od siebie.

„Żartuję... Twoje serce wiem, że tchnie duchem przywiązania; twój umysł daleki jest od rządzenia się powierzchownością. Chcesz tylko szczerego serca, i masz je we mnie“.

...,Jeżeli odmiana stanie się, chociaż przeciwna mnie a uszczęśliwiająca moją Teklusię, lub zapłaczę ale kontent będę z losu jej“.

...,Bógby dał, abyśmy żyć mogli razem! Bógby dał, aby ojciec inszem widział mnie okiem — albo nie miał łatwowierności i nie powodował się przez drugich! Niebo z nami by było, uszczęśliwienie zobopólne, mi-

łość, wdzięczność, uleganie i przywiązanie jedno widziane=by było“...

Kościuszko, jaknajdalszy zawsze nie tylko od samochwalstwa lecz wogóle od mówienia o sobie, od zajmowania innych swą osobą, tym razem od zasady odstępuje. Przemownie cisną mu się pod pióro wyrazy odparowywać mające ciosy, które zadały jego dobrej sławie złość i podłość ludzka. Więc przed tą, o której sąd tak bardzo mu chodzi, odsłania duszę swą od skaz wszelkich wolną. Kreśli własny wizerunek bez kłamstwa i sztucznych upiększeń, starający się uczynić go jaknajwierniejszym. A chwilami od uczuć osobistych przechodzi do ogólnych uwag w życiu i ludziach.

...,„Może pobłądziłem w pisaniu do ojca, ale otwartość zawsze na to jest narażona. Nie umiem myśleć i mówić inaczej. Prawda w sercu i w ustach moich jest zawsze“.

Dla nas, co mamy już przed sobą całe życie Kościuszki i więcej nawet, bo całego Kościuszkę, te słowa nie są niczem więcej jak tylko stwierdzeniem faktu.

Większość listów Kościuszki jest pisana w połowie do panny, w połowie do jej matki. Z wyjątkiem wspomnianych tu przed chwilą Romeowych szeptów, do których upoważnił przemijający nastrój tego naogół poważnego i statecznego stosunku, niema w listach nic, czegoby w obliczu całego świata nie można było powtórzyć.

Ile razy piszący zwraca się do chorążyny, bliższej sobie wiekiem, niż jej córka, przemawia jak smutny, pesymistycznie nastrojony moralista.

...,„Trzeba cierpieć na świecie; bez umartwienia miejsca niema, i słodzić nam tylko potrzeba nadchodzące. Mając serce czyste, charakter wielki, czucie delikatne, trzeba mieć wewnętrzną satysfakcję, która

jest najprzyjemniejsza. Odrzucać trzeba wszystkie martwiące rzeczy, i zmniejszać one rozumem“.

Jest to mówione w równej mierze do osoby innej i do siebie samego. A oto zwrot zupełnie już osobisty:

„Gdzież poszukać osoby, o którejby nie gadali (którejby nie obmawiano) — ale czyż stość sumienia ma swą nagrodę w duszy... Da Bóg — tak się spodziewam przy niewinności naszej — że szczypiące honor drugich żmijki w ciemności zawsze zostawać będą przed prawdą, której światłość zawsze im szkodliwa. Noce są im przyjazne, jak sottom lub nietoperzom, które szkodzą uśpio- nym niewinnym ptaszętom, ale dzień nadzie- dzie i znikną. Dnia się zawsze trzymajmy, a Bóg nam dopomoże“.

Ostatnie zdanie jest tak piękne, że już samo jedno wystarczyłoby do zapewnienia Kościuszcze tytułu szlachetnego.

Zmuszony jest mówić o sobie i bronić się, gdyż honor i szczęście jego ukochanej tego wymagają — inaczej, z pewnością by jednego i drugiego zaniechał. Mówi zaś spokojnie a mocno, z tym akcentem, jaki ma prawda, a jakiego obłuda nigdy udać nie potrafi. Obłuda posługuje się frazesami przesadnymi, szumną deklamacją — jego zaś mo- wa jest spokojna, argumenty proste.

....„Podłość nie przystaje do mnie, płasz- czenie się również. Nie mając nic do zarzu- tu z wesołem okiem podnieść głowę w górę mogę — ale nie pogardzającym na nikogo. Niech się stawi kto do zarzutu, a każdego zawstydzę. Niech się nie boi zemsty — ale świadkami będę bronić się i okażę prawdę!“
Jest to jakby wybuch obrażonej i upominają-

cej się o swe prawa godności własnej — wybuchy wszakże podobne tak są przeciwne szlachetnej, filozoficznie spokojnej naturze bohatera, aż zaraz potem, w innym zgoła tonie dodaje: „Nareszcie, jeżeli mam być zawsze w podejrzeniu, mam sprawić zawsze innym umartwienie, uchylę się od wszystkiego, abyście wy byli szczęśliwymi“...

I kończy sentencyjnie, zamykając w dwóch następujących zdaniach swą całą filozofję życia:

„...„Od głupich, zawistnych, złych, mściwych zawsze będę uciekać. W obrębie małych szczęśliwości żyć pragnę“.

Doniesiono Kościuszce, że Tekla, przeczytawszy list powyższy, płakała. Doniesiono może i co innego jeszcze, co mu słodkie nie było. Wyniknął stąd list, który w tej tkliwej korespondencji oznacza poniekąd moment przełomowy.

„Rotmistrz Potocki uwiadomił mnie, że „byłem przyczyną łzów jej wylania. Tak „drogie krople z pięknych źrenic, aby były „ronione z posądzenia mego, w mem „czuciu największe sprawia umartwienie. „Kłękam przeto i całuję rączki, póki jej nie „przebłagam. Ale nie sądz, abym myśl miał „kiedy oczerniać ją — to tylko otwartości „mojej wrodzonej był skutek. Teraz się „poprawię — nigdy otąd otwartości mojej „do pani nie użyję“...

Gdyby w nieśmiertelnym, z kwiatów i płomienia utkanym djalogu Romea i Giuljetty znalazły się wyrazy: „pan“ lub „pani“, zmroziłyby w jednej chwili całą scenę, jak przymrozek majowy mrozi i uśmierca napół rozkwitłe róże...

W liście Kościuszki ten wyraz był podzwonem jego miłości.

Tekla wraz z rodzicami opuściła Międzybórz.

Smutne przecucia Tadeusza sprawdziły się: kochankowie rozstali się na zawsze.

Do Ihnatowicz Kościuszko jechać nie mógł. Chorąży uwiózł tam córkę, jakby do twierdzy, która jemu właśnie dostępu bronić miała. Za warowną bramę dworu w Ihnatowiczach przedostał się tylko jego list — ostatni.

Bardzo smutny jest ten list i bardzo piękny. Nieliczni kochankowie i tylko najwybrańsi, w takich okolicznościach na taki ton zdobyć się mogli.

W tem listowem pożegnaniu każdy wyraz mówi o ranie serdecznej, która już nigdy zablźnić się nie da — lecz jest w nim także wiara w siłę uczucia, nad wszystkie związki ziemskie wyższego. I choć list nie mówi tego wyraźnie, odnosimy z niego wrażenie, że wszędzie, gdzie napisano: bądź zdrowa, czytać należy: **do zobaczenia.**

Poktórzyła się historia z Ludwiką.

Nieszczęsny kochanek nie złorzeczy ani losom, ani sprawcy swej niedoli. Tembardziej z rzutem najslabszym nie obciąża kochanki. Jest pełen wyrozumiałości, dobroci, gotowości przebaczenia.

„Ty serca mego ożywienie, coś miała
„być słodyczą całego życia mego, Teklusu,
„daruj, że wyrazów stosownych nie znajduję
„ję w tym momencie, lecz z przytuleniem
„chustki do mych oczu, skłaniam głowę moją
„ją do ucałowania twych nóżek, z przywiązanem
„zaniem stałem na zawsze“.

Dla nienawistnego mu ojca ukochanej ma tylko wyrazy smutnego zdziwienia. „Mój Boże! — skarży się — co za myśl okrutna, abym rwać miał prawa natury i pomimo ojca, wrywać mnie ukochaną. Pasja to jemu dyktowała. Odmieni się twarz we mnie na pogodę, i jemu życzę z serca najpomysłniejszych momentów.

Walka w jego sercu już się odbyła; burze przycichły; gorycz na dno duszy opadła, aby tam już na zawsze pozostać. Odniósł najtrudniejszy z tryumfów: zwycięstwo nad samym sobą — i to mu pozwala kochankę takimi żegnać słowami:

„...„Nie podnaszaj mnie, ale podepcz
„wszystkie moje przyjaźni dowody, i utop
„w zapomnieniu moje dla ciebie kochanie.

„Odrzucony od ojca i od ciebie być
„muszę. Obraz jednak twój w mem sercu
„zawsze będzie; twym duchem oddychać
„i twem sercem żyć będę. Gdzie się obró-
„cę, twój cień śledzi mnie zawsze. Umysł,
„napęczniony objektem, we wszystkich wido-
„kach twój portret znajduje. Chociaż mnie
„czynisz nieszczęśliwym, niech ciebie znaj-
„dę najpomyślniejszą. —T. K.“

Taki list napisać i na takie uczucia w chwili rozstania zdobyć się mógł tylko człowiek głęboko religijny i w nieśmiertelność wierzący. Hołdując prawdzie, twierdzić musimy, że Mickiewicz swój stosunek z Marylą bardziej po ziemsku traktował. Jego, w monologach Gustawa do obłędu dochodzące rozpaczanie, szalone plany zemsty, urąganie całemu rodowi niewieściemu, wreszcie rzucanie ludzkości i Bogu bluźnierstwa, okazują człowieka krańcowo namiętnego, niezdolnego — w pierwszej przynajmniej chwili — do chrześcijańskiej lub choćby filozoficznej rezygnacji. Kościuszko pozostał na tem, że oddał łzy swoje Bogu, a śmiertelnie zranione serce złożył na ołtarzu Ojczyzny.

Gdybyśmy chcieli ściślej analizować te objawy i głębiej wnikać w źródła różnicy, dzielącej tych dwóch genjuszów, okazałoby się, że wypływa ona z odmiennego charakteru ich zawodów. Wielbiciel Tekli był rycerzem, w najwznioślejszem tego słowa znaczeniu; w kochanku Maryli, jak

w każdym, genialnym nawet poecie, taίło się coś z literata. Literat liczyć się musiał z literackimi swego czasu prądami, z literacką poniekąd modą—więc rozpacział, jak Werter, bluźnił, jak Manfred — przeszczepiał na grunt białoruski germańskie i wielkobrańskie afekty. Uczucia chrześcijańskie, ewangeliczna prostota, odpuszczanie win winowajcom, chwilowo wezbranemi falami namiętności zatopione, ocknąć się miały i nad burzą zapanować później dopiero, za pobytu poety w Rzymie...

Jeszcze wiele lat po rozłączeniu się z Marylą widział Mickiewicz na lodowiskach górskich „błyszczące jej ślady“ i jej głos „słyszał w szumie alpejskiej kaskady“, i wołał, bólem serdecznym dręczony: „nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę! lądem idziesz i morzem płyniesz w moją drogę!“ — Kościuszko nad zagasłym na ziemi związkim uczynił znak krzyża, i nigdy już do niego, w skargach, któreby inni słyszeli, nie powracał.

Obu w końcu od osobistych samoudręczeń oderwały wielkie bóle i wielkie sprawy Ojczyzny.

Upadek Konstytucji majowej, równoznaczny ze zdradą obłęd targowiczian, zachłaność polityki petersburskiej i ze sztucznych osłon odarty cynizm carycy pchnął Polskę na pole walk orężnych. Rok 1792 postawił Kościuszkę obok księcia Józefa na czele wojsk, walczących z rosjanami.

Przy grzmocie dział pod Zieleńcami i Dubienką zamilkła fletnia Teokrytowej idylli.

Nigdy już na tej ziemi kochankowie zejść się nie mieli.

Po roku 1792 nastąpiła dobrowolna emigracja, a w dwa lata później powrót do kraju i wiekopomna „Insurekcja“, apogeum sławy i bohaterstwa Kościuszki.

W obliczu ginącej Polski, przed rozwartą mogiłą, która schłonać ją miała, czyż mógł najczulszy i najwierniejszy z jej synów o szczęściu osobistem myśleć?

Myślała natomiast wiele o zranionem sercu swoim i miłośnika swego panna Tekla Żurawska. Sława otaczająca aureolą skronie wybranej go mężczyzny, echa jego wielkich czynów dziei po dniu do Ilnatowicz nadlatujące, czułe i szlachetne słowa jego listów, nieustanie — często z pełnemi łez oczyma — odczytywanych, samo wreszcie oddalenie, w którym wątle uczucia znikają, a mocne olbrzymieją — uczyniły dla niej z ukochanego Tadeusza postać poetyczną, napół legendową, prawie nadziemską.

Dojrzewając umysłem i sercem, z każdą chwilą dokładniej pojmowała, jak wielką łaską losu było dla niej zdobyć miłość człowieka tej miary, wyższego od tysiąca innych, może w Polsce całej największego. Żyła odtąd tylko myślą o niej, jego szczęściem szczęśliwa, jego cierpieniami cierpiąca.

Napróżno posyłali do niej swatów najurodziwsi i najzamożniejsi młodzieńcy okoliczni, napróżno ojciec rał jej coraz inne i coraz korzystniejsze zamęzcia — wszystkich i wszystko bez namysłu odrzucała.

Jej najdroższy walczył ze śmiercią, porąbany i pokłóty szablami i spisami kozackimi, potem w podziemiach więzienia petersburskiego cielesne i duchowe cierpiał męki, a ona stawaćby miała na ślubnym kobiercu z kwiatami u łona i do innego mężczyzny uśmiechać się zalotnie?...

Wzdrygało się na to jej szlachetne serce polskiej dziewicy, dzielnej, z bujnym temperamentem podolanki.

Przytem choć rzeczywistość temu przeczyła,

przywidywało się jej może w marzeniach, że oto u wrót Ilnatowickich zarzął turczyn, zbrojnego rycerza niosący, że ten rycerz, ostrogami dzwoniąc, błyszczącemu gronu towarzyszków przewożąc, do dworu prosto zmierza, że ojciec, gościa pod ramię ująwszy, do córki prowadzi, węża kręci i oświadcza: — Temu, co Polskę niepodległą uczynił, Teklusi odmówić nie mogę...

Wreszcie z końcem wieku, skończyły się krwawe z przemożnymi wrogami zapasy. Nastąpiła cisza — smutna cisza, jeśli nie śmierci, to letargu. Kościuszko, wyleczony z ran, wolnością obdarzony, znalazł się za granicami kraju, za sferą bezpośredniego niebezpieczeństwa.

Już o los jego chorążanka mogła być spokojna.

A o serce?

Na to pytanie odpowiedź była trudna, w zwyczajnych zaś tego rodzaju stosunkach — zbyt czarna. Ale ten stosunek nie należał do zwyczajnych. Dla Tekli, jak w trzydzieści lat później dla Maryli, nie mógł być obojętnym stan serca człowieka, który jej pierwszy słowo „kocham“ wyszeptał.

Przez lata całe Kościuszko nie odezwał się, ani pozdrowienia przez osobę trzecią nie przysłał, ani znaku życia nie dał. Może zapomniał?... może płomieniowi dawnej miłości do cna wygasnąć pozwolił?...

Tymczasem rodzice dokuczali Tekli. Dokuczali z miłością, całując ją i pieszcząc, — co właśnie tem większy ból jej sprawiało. Skarżyli się, że nieustalony los ukochanej jedynaczki czyni ich starość smutną i niepokoju pełną. Powtarzali z płaczem, że ciężko umierać im będzie z myślą o przyszłości, jaka czeka osamotnione ich dziecko.

Więc, po dziesięciu latach walk wewnętrz-

nych i nieukojonych tęsknot, Tekla Żurawska, aby swych starych rodziców ucieszyć i otuchy im dodać, zgodziła się poślubić Stanisława Chwałiboga.

Przeżyła męża, przeżyła pierwszego kochanka i w pamiętnym dniu 15-go października 1820 roku, jedna z pierwszych stanęła do zwożenia ziemi na kopiec Kościuszki pod Krakowem.

Umarła w dziesięć lat później, mając przy sobie „drugą Teklusię“, odzianą w habit zakonny Panien Norbertanek krakowskich.

Albowiem i losy drugiej pary miłosnej z Międzyborza zakończyły się smutno, choć poetycznie. Panna Orlewska, dawna narzeczona Kniaziewicza, nie została przezeń poślubiona.

Kniaziewicz, jako skromny oficer sztabowy, nie był w stanie utrzymać rodziny, więc ślub odwlekał się aż do koniecznej poprawy jego losu. Tymczasem zerwała się burza wojenna i uniosła go za innymi w odmęt walk, przerywając na czas nieoznaczony słodkie wywczasy w Międzyborzu i Ihnatowiczach.

Klęska Maciejowicka, okrywając żałobą kraj cały, śmiertelnym ciosem razila dziewicze serca dwóch krewniaczek i przyjaciółek, dwóch Tekli, które tak nieostrożnie związały swe losy z losami rycerzy. Ich najdrożsi dostali się do niewoli.

Kniaziewicz po dwóch latach wolność odzyskał, lecz skołatany, zubożały, przyszłości swej niepewny, choć Teklusi swej kochać nie przestał, o małżeństwie z nią myśleć nie mógł. Udał się w Lubelskie, do macochy, która tam wioseczkę posiadała, i pracą na roli oraz w ogrodzie leczył schorzałe ciało i duszę znękaną.

Obraz pięknej panny z Ihnatowicz zachował w sercu; pisywał też do niej, ciesząc i ją i siebie nadzieją lepszego jutra.

Po kilku latach w jego życiu nowa zaszła zmiana. Opuszczać musiał pośpiesznie kraj, dążyć do legjonów, które się pod niebem włoskiem formowały.

Kochankowie — po poprzednim niezawodnie porozumieniu — spotkali się raz jeszcze w Krakowie. Warunków do pobrania się mniej było teraz, niż kiedykolwiek. Ale żeby swą miłość uświęcić i utrwalić, ślubowali ją sobie potajemnie przy ołtarzu, otrzymawszy błogosławieństwo od księdza, mszę zamówioną odprawiającego.

Przysięgli sobie wówczas wzajemnie innych związków nie zawierać, i raczej wytrwać do śmierci w celibacie, niż sobie się sprzeniewierzyć.

Niestety! tylko Tekla przysięgi dotrzymać miała. Straciwszy ostatecznie nadzieję powrotu narzeczonego, gdy już i młodość ją odbiegła, w krakowskim klasztorze Panien Norbetanek pod wezwaniem św. Augustyna przywdziała sukienkę zakonną.

Kniazewicz, po odbyciu zwycięskich kampanji, raz jeszcze na Wołyń zawitał, ożenił się, owdowiał i znów, huraganem polityczno-wojennym porwany, walczył, emigrował i w Paryżu ostatecznie osiadłszy, tam w późnym już wieku życia dokonał.

Biała postać zakonnicy może mu spokój dni ostatnich zamącała...

Ale o nim mówi się tu tylko ubocznie.

Poznaliśmy dwie wielkie miłości Kościuszki, dwa ważne epizody jego życia, które bez wpływu na losy naszego bohatera pozostać nie mogły.

Gdy na opowiedziane tu zdarzenia z oddali całego stulecia spoglądamy, gdy leży przed nami całkowicie już wypełniona i zamknięta karta tego ofiarnego i owocnego żywota, uderza nas fakt, któremu zaprzeczyć trudno: że jakaś moc do po-

jęcia trudna, a nad zabiegi ludzkie wyższa, układała wypadki jego życia według nakreślonego z góry i kensekwentnie usque ad finem doprowadzonego planu.

Badawcze i analityczne na tę piękną kartę spojrzenie ukazuje nam w Kościuszcze jakby dwie odmienne istoty: wyniesionego nad poziom zwykłych spraw ludzkich bohatera i genjusza, oraz — podległego ludzkim uczuciom i namiętnościom, wszystkim nam podobnego człowieka.

Nie przeczą sobie te dwie istoty; owszem, w perspektywie historycznej stapiają się w jedną — którą po ludzku wielbiąc, po ludzku również kochamy.

Kościuszcze z czułem sercem i z gołębiami, którym i lzy obce nie były, oczami, nie damy tak cenionego w pewnych sferach tytułu: „Żelazny”. Natomiast gotowi jesteśmy nazwać go bez ważania — Szczerozłotym.

Aby przedmiot wyczerpać i ujawnić w pełni nawskroś ludzką, ogółowi rodaków pokrewną naturę Kościuszki, wspomnieć wypada o jego afektach drugorzędnych, o tych pobocznych produktach uczucia, które ochrzcićby można mianem „igraszek sercowych”, — choć, ściśle rzecz biorąc, serce żadnej w nich nie odgrywało roli.

Mąż tej miary i tej kryształowej czystości charakteru, co Kościuszko, nie obawia się, przy rozpatrywaniu swych czynów, najsilniejszego nawet światła. W jego duszy i życiu niema ciemnych i brudnych zakamarków. A jeśli to życie nie z samych solenności się składa, jest to wynik tej samej konieczności, która sprawia, że kalendarz nie zapisuje wyłącznie świąt, lecz umieszcza obok nich i dni powszednie.

„Nie jest się poetą — osądził mądrze Nor-

wid — lecz się nim tylko bywa“. Z równą słuszością powiedzieć to można o bohaterze.

Zachowajmy wysoką miarę do oceny rycerskich i patriotycznych dzieł Kościuszki; z minami Katonów i... Turtuffe'ów nie przystępujemy do rozpatrywania powszednich stron jego życia. A jeśli Mickiewiczowi łatwo przebaczyliśmy odeskie swawole, nie bądźmy surowi dla Kościuszkowskich „igraszek“.

Jest ich zresztą niewiele i żadna cienia na jego charakterze nie rzuca.

Zanim je opowiemy, najpierw od tych chudych ziaren oddzielić nam trzeba — plewy.

Typową plewą jest bajka, zamieszczona we wspomnianym już tu plotkarskim „Pamiętniku anegdotycznym z czasów Stanisława Augusta“.

Ze zdumieniem czyta się tę bajkę... W świetle prawie niewiarogodnem ukazuje nam ona naszych pradziadów, którzy w chwili tak tragicznej i wszystkie poważne umysły absorbującej, jaką przeżywała Polska na przełomie wieku XVIII i XIX, mogli mieć czas i ochotę do kleceniach ciężkich, niedorzecznych fantazji, będących jakby parodią „Tysiąca i jednej nocy“. Cóż dopiero, gdy się pomyśli, że ofiarą próżniackiego fantazjowania padał mąż, pod wszystkimi względami na czele narodu stojący!

Gdy w Polsce — opowiada anonimowy plotkarz — zakwitła nadzieja lepszej przyszłości, gdy sejm konstytucyjny wystawienie stutysięcznej armji uchwalił, ogłoszono wezwanie do poleków w wojskach cudzoziemskich służących, aby powracali do kraju służyć ojczyźnie pod narodowymi sztandarami. Do Kościuszki, przebywającego podówczas w Ameryce, oddzielne, gorące pismo wysłał jego protektor, ksiązę Adam Czartoryski (ojciec), wymógłszy na królu, niezbyt dla

„amerykanina“ łaskawym, że do tej posyłki uprzejmy, własnoręczny list doręczył. Kościuszkowi jaknajzyczliwiej i jaknajochotniej przyjął te głosy i pragnął natychmiast wyruszyć do Europy, lecz na przeszkodzie stanął mu... brak pieniędzy.

„Wówczas — czytamy w tym osławionym Pamiętniku — szczególne zdarzenie usłużyło mu w nadzwyczajny sposób“.

Jakie to było zdarzenie? Oto „pewna dama amerykańska pokochała Kościuszkę **mimo jego wiedzy**“ i — zaradziła jego finansowym brakiem w sposób prawdziwie bajkowy. Mianowicie: „przybyła do niego paradnym ekwipażem, ubrana pięknie, lecz z twarzą zamaskowaną, i nic nie mówiąc, położyła na stole woreczek z dukatami oraz bilet“.

W bilecie znajdowało się płomienne wyznoszenie miłości, zapewnienie czynnej pomocy w powrocie do Europy i prośba o wzajemność — wszystko zaś pod warunkiem pozwolenia jej, żeby maski nie zdejmowała.

„Kościuszek, zdziwiony tak niespodziewanymi odwiedzinami, patrzył długo na przybyłą, na bilet i na pieniądze, a z piękności figury, ręki i całej postaci wnosząc o zakrytej twarzy“ — zgodził się na postawione warunki.

Odwiedziny powtarzały się odtąd często, za każdym razem połączone z darami, które wzrosły wreszcie do trzech tysięcy czerwonych, to jest do kwoty aż nadto na koszt podróży wystarczającej.

W czasie odwiedzin, które zaraz potem nastąpiły, „maska“ pozostawiła bilet, „który był tak tajemniczo napisany (?), że go generał zrozumieć nie mógł“...

Był to już początek końca.

Kościuszek miał już dość tej tajemniczości (zwłaszcza, że był w posiadaniu trzech tysięcy du-

katów! i zażądał stanowczo, żeby choć przy rozstaniu maska została zdjęta.

Nastąpiło wówczas rozwiązanie intrygi, nie tyle dramatyczne, co obydne.

— Będiesz swej ciekawości żałował! — wykrzyknęła okropnym głosem nieznajoma i maskę z twarzy zerwała.

Kościuszko zdrętwiał — choć powinien był raczej wziąć nogi za pas i czmychnąć.

Ukazała mu się twarz bez policzków i jednego oka, które były wyżarte przez jakąś straszną, do raka podobną, chorobę. Obnażone dziąsła i zęby szczyrzyły się, jak u upiора...

W tem miejscu łgarz, czując, że się zadaleko zapędził, wzorem wszystkich zawodowych kłamców, zapewnia:

„Całą tę powieść mam z ust własnych Kościuszki, który, będąc w poufalej zażyłości ze mną, sam mi ją opowiadał“.

Możnaby się z tej anegdoty uśmieć — gdyby nie dotyczyła tak wielkiego męża i nie miała tendencji tak oburzająco nikczemnej.

Jakkolwiek każda niedorzeczność tem się odznacza, że sama sobie przeczy, nie zaszkodzi dodać, że Kościuszko o pieniądze na podróż nie potrzebował się kłopotać, gdyż właśnie w tym czasie Stany amerykańskie wypłaciły mu, tytułem żołdu z procentami, 12.500 dukatów.

Na jedną jeszcze, zgola już humorystyczną uwagę zdobył się anegdociarz. „Kościuszko — pisze — powziął od tej chwili, jak mi sam powiadał, wielki wstręt do kobiet — przecież się na tę płeć piękną gniewać nie umiał zapamiętałe“...

Fakty o wiele wiarogodniejsze i niewinniejsze przytacza w swych pamiętnikach Seweryn Bukar. Odnoszą się one do pobytu Kościuszki na Podolu, bezpośrednio przed kampanją 1792 roku.

W Niemirowie, gdzie stał kwaterą generał, przebywała podówczas w towarzystwie matki piękna greczynka, która „zwróciła na siebie całą baczną publiczność“. W jakim celu przybyła, pamiętnikarz nie wie. Wiadomo mu natomiast, że ją licznie odwiedzała młodzież — sam też nawet znalazł się raz, w towarzystwie kolegi, w jej domu — gdzie był częstowany konfiturami podług orjentального zwyczaju.

Otóż tę greczynkę upodobał sobie Kościuszko. Bukar mówi o tem dyskretnie: „Szanowny generał dla wytchnięcia po pracy, dość tam uczęszczał“...

Trudno przypuszczać, żeby same konfitury oraz rozmowa z cudzoziemkami, sprawom krajowym obcemi, mogły być celem tego uczęszczania. Pozostawił też Kościuszko piśmienny dowód, dość wymownie piękną córę Hellady charakteryzujący.

Cenny ten autograf posiadał pamiętnikarz na swej... książce do nabożeństwa. Opowiada o tem co następuje:

„Moja matka tę książkę ofiarowała mnie, i własną ręką we środku, na okładce, napisała: — Tę książkę synowi memu Sewerynowi Bukarowi z błogosławieństwem ofiaruję. — Kiedy w ciągu służby mojej w wojsku, przeszliśmy na kwatery do Połonnego a później do Niemirowa —gdzie był sztab brygady naszej i kwatera generała Kościuszki — wydarzyło się, iż generał spacerując, zaszedł do kwatery mojej, a nie zastawszy mnie, zrewidował książki moje, a między temi znalazłszy tę książkę nabożną, dopisał poniżej słów mojej matki, następujące wyrazy... „aby się na niej codziennie modlił, do greczynki nie uczęszczał, a talenty swoje perfekcjonował“...

Tej przestrogi nie dawałby z pewnością zwierzchnik swemu młodemu podwładnemu, gdy

by w tym wypadku chodziło tylko o wprawę w języku Homera i Ajschylosa.

W Niemirowie było gwarno i wesoło. Świetny, polski sztab ożywił ciche zwykle miasteczko, powodując napływ okolicznej bogatej szlachty. Nastrój wojenny zawsze działa podniecająco i tętno życia przyspiesza. Do błyszczących mundurów ciągnęły młode i starsze kobiety, jak wieczorne motyle do świecy — wiadomo zaś z innych źródeł, że wśród ówczesnych podolanek wielką rzadkością były westalki i Lukrecje.

Nie gardził zabawą i Kościuszko — może w niej szukał chwilowego oszołomienia po zawodzie bolesnym, doznanym niedawno w Międzyborzu...

Więc niebawem w galerji „kobiet Kościuszkowskich“ zjawia się nowa postać: — pani pułkownikowa Szererowa, wśród innych niewiast „cełująca urodą i wychowaniem“.

Pani pułkownikowa, Szuldbachówna z domu, a więc niemka, i zapewne, jak większość niemek, kochliwa, pochodziła z Warszawy, która również pustelnią Trapistów w owej epoce nie była. Ojciec jej, podpułkownik wojsk litewskich, miał kwatery w koszarach kadeckich, i pilnie, wraz z żoną córką, ucześnie na wesołe baliki kadeckie. Córka, po wyjściu za mąż, tych upodobań nie pozbyła się — owszem, jeszcze namiętniej im się oddawała.

Pani Szererowa, prócz urody i uposobienia arcywesołego, posiadała wiele innych jeszcze powabów. Między innymi, była doskonałą tancerką i grała pięknie na skrzypcach. Co zaś do jej męża, ten, z obowiązków swej służby, znajdował się prawie nieustannie poza domem.

Syrenia postać pułkownikowej występuje na tle, jaknajwłaściwiej do jej osoby dostosowanem. Pamiętnikarz takimi je maluje słowami: „Nowe pole do wesołych zabaw otworzył nam karnawał.

Dom, w którym była publiczna traktyjnia, był wielki, i oprócz kilku pokoi, miał salę dość obszerną, gdzie odbywały się reduty. Okolice Niemirowa gesto były zaludnione. Liczne wsie składające to dominium znajdowały się w ręku bogatych posesorów; stąd reduty bywały ludne i doskonale bawiono się na nich. Mieliśmy zawsze gromadę panienek do tańca; dodać zaś trzeba do tego żony i córki oficerów w pobliskich wsiach kwaterujących“.

Kościuszko poznał piękną i wesołą pułkowniczką w Brailowie, gdzie był sztab tego pułku. Zachwalił jej reduty Niemirowskie i zaprosił na nie. Nie poprzestając na zaproszeniu, ofiarował jej, na czas karnawałowych zabaw, wygodne mieszkanie w zajmowanym przez siebie przestronnym, o kilkunastu pokojach, domu.

Dyskretny Bukar, nie rozszerzając się nad tym stosunkiem, zapisuje tylko, że „pułkownikowa Szererowa mocno Kościuszkę zainteresowała“, i że wówczas, „gdy żoneczka hasała w Niemirowie“, mąż jej otrzymywał (od Kościuszki) „częste komisje do odsądzenia“, zniewalające go do wyjazdów z domu.

Nie potępimy bohatera — cieszyć się raczej będziemy, że idąc ad astra, prócz cierni i kamieni znajdował niekiedy pod stopą i kwiatek...

KOŚCIUSZKO ARTYSTA I PACYFISTA.

Dotychczasowi biografowie Kościuszki rozpatrywali w nim wyłącznie: patriotę i bojownika wolności. Niewątpliwie są to dwa stany piękne i wzniosłe; na drzewie życia wyobrażają one kwiat i owoc. Ale jak botanik po za kwiatem

i owocem widzi jeszcze i bada całe drzewo, tak
hjograf, zwłaszcza. gdy chce być psychografem,
w bohaterze musi widzieć i badać całego czło-
wieka.

Nikt dotąd naprzykład nie zwrócił pilniejszej
uwagi na artystyczne prace Kościuszki, choć, jak
na dyletanta, są one niepospolicie piękne i rzucają
bardzo znamienne światło na swego twórcę.

Już sam fakt, że ten wielki człowiek zajmował
się rysunkiem i rzeźbą, stanowi ważny do jego
psychiki przyczynek.

Tylko umysł, w równej mierze twórcze i re-
fleksyjne, zdolne zarówno do czynów energicz-
nych i do spokojnej zadumy, szukają wytchnienia
w tej szlachetnej rozrywce. Prawda, że dyletan-
tami bywają i ludzie małuczcy a próżni, szukają-
cy swą duchową małość pozorowaniem na poetów
lub artystów, lecz dyletentyzm tych ludzi jest za-
wsze niezdatny i prostacki, przytem noszący wi-
dome znamię fałszu i pyszałkostwa.

Spotkałem się w druku ze zdaniem, że Ko-
ściuszką był „tylko żołnierzem“. Gdy mi brakło
innych argumentów na odparcie tego, nietrafne-
go mojem zdaniem, sądu, powołałbym się na ry-
sunki i rzeźby bohatera. Dla mnie są one świa-
dectwem wystarczającym.

Żołnierzami i tylko żołnierzami byli, wśród
wielu innych. Napoleon i Bismarck (dyplomacja
ostatniego miała tendencję wyłącznie militarną),
obaj w swoim rodzaju znakomici — czy można
zaś wyobrazić sobie Napoleona lub Bismarcka,
rysujących piękny pejzaż lub boleściwą postać
Chrystusa?

Wśród wielkich poetów, będących również
na swój sposób, bohaterami, a uprawiających po
amatorsku rysunek i malarstwo, spotykamy, mię-
dzy innymi, Słowackiego, Wiktora Hugo, Goethe

go. Mickiewicza na tej liście niema — być nie mogło. Dlaczego? Bo ten poeta-wieszcz był wulkanem, bez przerwy wybuchającym, bo temu potężnemu duchowi „tworzącemu światy“ brakło czasu na refleksje i odrywanie się choćby chwilowe, od swego prawie boskiego dzieła.

Natomiast refleksyjny ponad zwykłą u rymotwórców miarę Norwid jest tyleż rysownikiem, malarzem i rzeźbiarzem, co poetą.

Gdy z pomiędzy innych wybitnych pisarzy polskich, uprawiających w szerszym lub szerszym zakresie malarstwo lub rzeźbę, wymienimy Kraszewskiego, Lenartowicza, Syrokomłę, przybędzie nam jeden jeszcze rys do genezy tego swoistego arcyzmu. Nie były to umysły refleksyjne — były natomiast wydatnie liryczne.

A więc wśród ludzi, nie będących zawodowymi artystami, pociąg do sztuki rozwija się na podłożu refleksyjności i liryzmu.

Czy refleksyjność i liryzm mogą być rysami zasadniczymi żołnierza, i to jeszcze takiego, który jest „tylko żołnierzem“ — o tem mówić chyba nie trzeba.

Wszyscy wymienieni pisarze, zamieniając chwilowo pióro na pędzel, ołówek lub dłuto, nie przestawali być sobą. Ich obrazy, rysunki i rzeźby wypowiadały toż samo, co ich wiersze i proza. I gdyby przypuścić, że zginęły utwory literackie tych poetów i prozaików, właściwe duchowe oblicze każdego zachowałoby się w tem, co wymalował lub wyrzeźbił.

Co widzimy na szkicach rysunkowych Wiktora Hugo? Średniowieczne tury i zamczyska, ponure, napół zrujnowane domostwa, pejzaże nadmorskie z zawieszonymi nisko czarnymi chmurzyskami, zachody słońca z sylwetami szubienic,

wreszcie potworne maski ludzkie — cały aparat szalonego romantyzmu.

Goethe w swych szkicach posługiwał się przeważnie tematami klasycznymi; rysował greckie bóstwa, świątynie, pałace.

Rysunki Słowackiego w wykonaniu zupełnie naiwne, przedstawiają kaplice gotyckie, trumny, druidyczne ołtarze, meczety, wschodnie grobowce, palmy...

Wszystko, co wyszło z pod pędzla, ołówka, ryłca i dłuta Cyprjana Norwida, jest w tymże stopniu, co on sam, enigmatyczne. Same symbole, zagadki, rebusy filozoficzne, literackie, społeczne. Niekiedy twórca, licząc się z niedomyślnością oglądającego, dodawał pisane do swych dzieł komentarze — jeszcze bardziej one sprawę wikłały.

Kraszewski nie malował i nie rysował nic innego, jak tylko to, co znamy z jego powieści. I styl tych licznych prób artystycznych, które często czynią wrażenie prawdziwych dzieł sztuki, a przynajmniej szkiców artysty zawodowego, niczem się nie różni od pisarskiego stylu autora. Tak samo, jak cała literatura Kraszewskiego, sąsine w ogólnej charakterystyce, zabarwione poetycznym sentymentem i — niewykończone. Wielka, prostacza wiara Lenartowicza i jego zbożne, serdeczne, a razem zamaszyste traktowanie najbliższej przeszłości historycznej odbiły się jak najwierniej w rzeźbie, której się ku końcowi życia z zapalem oddawał. Jego apostołowie są przebranymi w szaty wschodnie polskimi żebrakami i dziadkami kościelnymi; każde z jego chłopańskich izraelskich przypomina naszego wiejskiego Jaśka czy Józka, co to „w koszulinie, zawsze boso, przepasany wąską krajką, opalony, jasnowłoso, Bóg wie gdzieby siedł za bajką...”

O treści i charakterze rysunków Syrokomli poucza nas sam poeta w wierszu p. t.: „Co umiem kreślić?”

Kiedy biorę ołówek (chęćka dzisiaj rzadka)

I nie wiedząc co kreślić, błędne stawiam kreski,
Zawsze wyjdzie z pod ręki lub litewska chatka,
Lub kościółek wioskowy lub dworek litewski...

Z tych wszystkich przykładów wnioszek ostateczny: że gdy ludzie wybitni, na innych polach działający, przygodnie zwracają się do sztuki, bywa ona zawsze wiernym zwierciadłem ich duszy, to znaczy: ich myśli, uczuć i marzeń.

Świadomi tego, z tem większem zaciekawieniem zapytujemy: co rzeźbił i rysował Kościuszko?

Znam tylko cztery rysunki wielkiego Tadeusza oraz kilka jego robót, bardziej do galanterji artystycznej, niż do rzeźby należących, które pod względem techniki trzymają środek pomiędzy tokarstwem a sznycerstwem.

Ostatnie swym stylem bezosobistym mało mówią o indywidualności twórcy, niektóre wszakże samem swem przeznaczeniem świadczą o jego uczuciach religijnych. W skarbcu klasztornym na Jasnej Górze znajduje się wyrobiony przez Kościuszkę niewielki ołtarzyk; tu i owdzie odnaleźćby się dało takich ołtarzyków więcej.

Są to nie pozbawione wdzięku, choć bezstylowe robótki dyletanckie, które mógł tak samo wykonać Kościuszko, jak każdy inny cierpliwy i pewnym smakiem estetycznym obdarzony „amator“. W ołtarzyku Jasnogórskim zwraca uwagę szczególnie niezwykły: na jego szczycie, zamiast krzyża, umieścił artysta otoczone promieniami — słońce.

Na swym pięknym warsztacie tokarskim, dażre cara Pawła I-go, którego zwykła towarzyska

uprzejmość odrzucać nie pozwalała (inaczej, jak wiadomo, stało się rublami), toczył Kościuszko wyłącznie dla rozrywki różne potoczne drobiazgi: tabakierki, pudełka i t. p.

Ta rozrywka, uprawiana przez nudzących się starych kawalerów i emerytów „dla zabicia czasu”, dziwną się wydaje odnośnie do wielkiego Kościuszki. Ale przypomnieć trzeba, że równie wielki ksiądz Piotr Skarga, ile razy znużył się nad miarę pracą kapłańską i publiczną, „zawarłszy się w swej komórce” (celi klasztornej), zabawiał się klejeniem pudełek i latarni papierowych, które potem młodszej braci zakonnej rozdawał.

Przy końcu wieku XVIII bawiący w Paryżu Naczelnik znacznieszą ilość wyrobionych przez się drobiazgów posłał do Wielkopolski różnym wybitnym osobom. Zabrał je jadący tam, do swej rodziny, Michał Sokolnicki, wówczas dopiero pułkownik. Posądzano go, że chcąc zaspokoić wszystkich, na te pamiątki łakomiących się, sztucznie ilość ich powiększył, podstawiając na miejsce Kościuszkowskich zwykle wyroby tokarskie. Wynikło stąd wiele nieprzyjemności dla Kościuszki i dla pułkownika, za jego powrotem do Paryża. Sokolnicki z zarzutów oczyścił się, ale zaraz potem Paryż opuścił i wstąpił do legionów.

Znacznie więcej materiału do psychiki naszego bohatera dostarczają jego rysunki. Wspomniałem o znanych mi czterech; są nimi: wizerunek Chrystusa na krzyżu, portret Jeffersona i dwa pejzaże.

Podobiznę prezydenta Stanów Zjednoczonych, następcy Waszyngtona, wrytował Sokolnicki, i stąd ze wszystkich prac Kościuszki najbardziej się rozpowszechniła. Przedstawia ona Jeffersona w profilu, najłatwiejszym do wykonania dla

dyletanta. O podobieństwie trudno mieć zdanie widzowi dzisiejszemu. Rysunek jako rysunek jest dość poprawny, żadnych wszakże znamion szczególnych nie posiada. Najciekawsze są tytuły dodane przy nazwisku przez Kościuszkę: „filozof, patrijota i przyjaciel“. Ostatni z tych tytułów skłonił rysownika do przyozdobienia głowy swego modelu wieńcem laurowym.

Rysunkiem Kościuszki najbardziej znamienym i głębię jego ducha odsłaniającym jest Chrystus Ukrzyżowany.

Istnieją tysiące i dziesiątki takich Chrystusów, rysowanych, malowanych i rzeźbionych przez genjuszów, przez artystów średniej i mniej, niż średniej, miary — Chrystus Kościuszki do żadnego z nich nie jest podobny.

Jest to okoliczność niemałej wagi, odrazu wartość dzieła podnosząca.

Olbrzymia większość boskich Ukrzyżowań przedstawia Chrystusa osłabłego, wyczerpanego z sił, cierpiącego z poddaniem się i rezygnacją. Usta jego szeptać się zdają zawsze: „Nie moja, lecz Twoja niech się stanie wola“...

Zupełnie inny jest Chrystus Kościuszki.

Jest w tym Chrystusie coś ze zbuntowanego tytana; zdobywa się on na Prometejską odwagę walczenia z wyrokami nieba. Męczy się, lecz się nie poddaje.

Przypatrzmy się niezwykłemu ruchowi tej postaci. Jest to ruch hardy, dumny — żołnierski, a ściślej: rycerski.

Prawie wszystkie Chrystusy mistrzów i nie mistrzów cierpią i umierają z oczyma wzniesionymi w niebo. To spojrzenie jest niewymownie bolesne — tem boleśniejsze, że łączy się z zupełną nieruchomością lub bezsilnym pochyleniem ukoronowanej cierniami głowy. Łzy cisną się nam do

oczu, gdy patrzymy na tę mękę, której nic już nie zapobiegnie i nie ulży. Wiemy, że ten męczennik za chwilę umrze, umrzeć będzie musiał. O jego zmartwychwstaniu chwilowo zapominamy.

Chrystus Kościuszkowski, którego rozwinięta wspaniale muskulatura o wielkiej świadczy sile, oderwał głowę od krzyża — całą twarzą ku niebu się zwrócił. Jego twarz wyraża nie rezygnację, lecz protest, oczy patrzą niemal groźnie, błyskawicą gniewu strzelają...

W całej ikonografii chrześcijańskiej, od zdrewniałego z lęku uniformizmu bizantyjskiego, aż do silących się na niezwykłość wybryków modernistycznych, nic podobnego nie znajdujemy. Wrazem nie jest nadzwyczajne — w pierwszej chwili aż przeraża. Z przerażeniem myślimy: Chrystus buntujący się... Chrystus rewolucjonista... Czyż to nie sacrilegium?

Chwila namysłu odkrywa nam prawdę.

Ta postać, to — symbol. Ten symbol, to — Ukrzyżowanie Polski.

Źli ludzie Polskę do krzyża przybili, na śmierć skazali. Ale ona jest silna, zdrowa, do długiego życia sposobna. Umrzec nie chce, zabić się nie da. Więc ruchem rycerskim skrwawioną głowę podniosła. „o pomstę do nieba“ wielkim głosem krzyczy.

W tej symbolicznej postaci wyraził artysta — Kościuszko okazał się w tym dziele prawdziwym artystą — tak wiele energii, siły i żywotności, że o jej zwycięstwie nad śmiercią na chwilę nie wątpimy.

Dwa ostatnie ze znanych mi kompozycji Kościuski są pejzażami. Jeden przedstawia pejzaż włoski, drugi — wschodni.

I te rysunki pomyślane są oryginalnie a nie-

zwykle, i świadczą, że wielki duch naszego bohatera drogami utartymi nie zwykł być chadzać.

Pejzaże Kościuszki nie odpowiadają dzisiejszemu pojęciu tego rodzaju malarskiego; nie odzwierciedlają pewnych, ściśle określonych, z natury wziętych, fragmentów ziemi włoskiej lub krajów wschodnich. Są właściwie: warzająciami z włoskich i orjentalnych tematów.

W pejzażu włoskim mamy to wszystko, co wyobraża jego typowe, zasadnicze pierwiastki, a więc: cyprysy, laury, pinie; pałac renesansowy z płaskim dachem, tarasę z marmurowymi, pełnymi kwiatów wazonami; posągi, arkady, kolumny. Do całości brak jeszcze morza i gór — lecz i bez nich ten zespół, z pozoru bezładny, uwydatnia, zaraz przy pierwszym wejrzeniu, swój odrębny, etnograficzny charakter.

Mniej typowy jest pejzaż wschodni. Napróczno upatrujemy na nim najprzystatniejszych rysów Wschodu: pustyni, palm, wielbłądów. Prócz niewielkiej zgoła naiwnie pojętej piramidy, nic tu niema lokalnego. Ruiny jakiegoś pałacu czy świątyni, drzewo do wszystkich wogóle drzew podobne, jakaś bezstylowa kolumnienka, głazów kilka — byłyby na swoim miejscu i we Włoszech, i w Hiszpanji, i gdzieindziej.

Znaczna między tymi dwoma pejzażami, pod względem malarsko-etnograficznym, różnica stąd wynikła, że Kościuszko znał Włochy *de visu*, pojęcie zaś Wschodu brał z drugiej i trzeciej ręki.

Oba pejzaże ożywione zostały postaciami ludzkimi. Te postacie tak są do siebie podobne ruchami, odzieżą i rolą, jaką w pejzażu pełnią, że wyglądają jak ciż sami statyści, których z jednej sceny na drugą przeniesiono.

Są to konwencjonalne, w pseudoklasycznym smaku XVIII wieku, niby pasterki, niby kapłanki

Flory, odprawiające jakby jakieś święto kwiatów. Jedne dźwigają na głowach kosze napelnione kwiatami, inne splatają z kwiatów wianki i same niemi się wieńczą.

Obok tych scen sielankowych pasą się spokojnie krowy, owiec kilka przyległo na trawie, pies owczarski drzemie, łeb między łapy stulwszy.

Nas jednak obchodzą nie tyle szczegóły, jak ogólny nastrój tych, bądź co bądź, niepowszednich kompozycji. Dobadać się chcemy uczuć i myśli jakie rysowanymi hieroglifami wyraził artysta. Doprowadzi nas to już bezpośrednio do znajomości jego całej duszy.

Nastrój obu pejzaży jest pogodny, pełen ciszy i ukojenia. Taki nastrój wypłynąć mógł tylko z duszy, która jeśli w życiu ciszy, pogody i ukojenia nie znalazła, to nie dlatego, że ich nie pożądała, lecz, że jej wyrok boży czy szatański zdobyć ich nie pozwolił.

Artysta okłamywać tu ani siebie samego, ani innych nie chciał i nie mógł. Ręka jego szła za wskazówkami serca. I to, czegoby pewnie swym towarzyszom broni i zawodu publicznego nigdy, za żadną cenę, nie wypowiedział i nie napisał, tu, w plastycznym odtworzeniu myśli, zostało przezeń wyrysowane.

Jakaż więc była w swej treści najistotniejszej dusza Kościuszki?

Aby rozwiązać ten problem, mysimy raz jeszcze powrócić do tego, o czym mówiliśmy już wyżej i zapytać: czy jest ktoś w stanie wyobrazić sobie Napoleona lub Bismarcka — przypuszczając, że oni byli odpowiednią zdolnością obdarzeni — rzeźbiących ołtarzyki, malujących Chrystusa na krzyżu i rysujących takie pejzaże?

Odpowiedź na to pytanie jest ważna i decy-

dująca. Jeśli wypadnie twierdząco, okaże się, że Kościuszko należy do jednej z tamtych rodziny. W razie przeciwnym trzeba będzie pomiędzy nim a tamtymi nieprzebytą postawić granicę.

Ale tu na wahanie się niema miejsca. Odpowiedź może być tylko jedna: przecząca. Jest najzupełniejszym niepodobieństwem, żeby twórca rzeźb dewocyjnych Chrystusowych Ukrzyżowań i pejzaży tchnących bezbrzeżnym spokojem mógł mieć duszę urobioną na modłę Nitzscheańskich zdobywców, i należeć do owych, marzonych przez obłąkanego mędrka, czy też mędrkującego obłąkańca „ludzi wspaniałych, z jednej i jednolitej bryły wykutych, którzyby, nie oszczędzając niktogo, przybierali wzniosłe miano **niszczyieli**“.

Więc kto widzi w Kościuszcze „tylko żołnierza“ błądzi, gdyż bierze **pars pro toto**. Nasz wielki, może największy — pomimo, że nie było mu dane zwyciężyć — bohater nie był żołnierzem ani wyłącznie, ani nawet głównie. Był tylko bojownikiem wolności, wywalczającym ją orężem, gdyż w danej chwili ona tylko orężem wywalczoną być mogła.

Gdyby Bóg pozwolił mu był wroga pobić, kajdany rozerwać, z jakąż rozkoszą zawiesiłby oręż nad łóżkiem lub na przysłowiowy „lemiesz“ przekuć go kazał!

Gdy na powierzchni jego życia huczały szalone burze, na dnie duszy, jak w wielkich głębiach oceanu, leżała niewzruszona cisza. Zanurzał się w te głębie, ile razy do walki sił mu zabrakło, a razem z krwią opuszczał go „duch żywiący“, który dawał wiarę w zwycięstwo i nadzieję zwycięstwa.

Wyobraźmy sobie Kościuszkę żyjącego w innych warunkach politycznych :w kraju wolnym, posiadającym dobrobyt, wysoką kulturę i zabezpieczone granice. Czy snułby on wówczas plany

bitew, ćwiczył się w umiejętnościach rycerskich, potrzasał wojowniczo szablą i dążył do rozszerzenia granic kosztem potoków krwi z jednej i z drugiej strony? Czy opętałaby go choć na chwilę pokusa zatknięcia sztandarów polskich na krańcach ziemi, wyniesienia Orła białego ponad herby wszystkich innych mocarstw, narzucenia mowy polskiej i obyczajów polskich innym narodom?

A takie właśnie żądze wrą w piersiach tych, co są „tylko żołnierzami“.

Upadająca Polska miała na swych szczytach dwóch ludzi w jednakim stopniu miłujących pokój: Stanisława Augusta i Kościuszkę. Mimo wspólnych umiłowañ, dzieliła tych ludzi przepaść.

Król dla pokoju gotów był poświęcić wszystko. Swą sentencję „raczej piórem, niż orężem“ powtarzał wówczas nawet, gdy dziki wróg już do gardła sięgał i jemu i narodowi.

Dla Naczelnika większą miało wagę to, co potrzebne, od tego, co upragnione. O pokoju marząc, nie przestawał powtarzać sobie „czuj duch!“ i szablę ostrzyć a panewki prochem podsypywać, odkąd tylko poczuł się mężczyzną.

Stanisław August był kwietystą; Kościuszeko pacyfistą.

Ogół te dwa pojęcia łączy w jedno, a one tak różne od siebie, jak niebo od ziemi.

Kwietyzm lęka się walki, ucieka przed nią, wiedzieć o niej nie chce. Pacyfizm rozumie, że walka jest treścią i podstawą istnienia, że „pół życia póki walki“, że *requies aeterna* to zarazem owoc i ziarno śmierci. Pragnie on tylko walkę uszlachetnić, uczynić ją godniejszą ludzi, niż zwierząt. Dąży do tego, żeby ludzie walczyli nie na kły i pazury, lecz na rozумы i serca, żeby mocowali się nie na pięście, lecz na duchy, wreszcie; żeby zaprzestawszy walk pomiędzy sobą, zwrócili się

razem przeciw wspólnym wrogom ludzkości: ciemności, chorobom, nędzy.

Pacyfista nie jest nawet bezwzględny wrogiem militarystyki—między wojnami czyni on tylko wybór. Wojna zaborcza jest dla niego masowym bandytyzmem, wojna wyzwolenicza — świętością.

Wzniosła jest idea pacyfizmu i przyszłość do niej należy. Jeśli zaś dotąd spotyka tak wielu przeciwników a więcej jeszcze obojętnych, wynika to stąd, że jej ludzie albo wcale nie znają albo też biorą ją za jedno z kwietyzmem, od którego ona zasadniczo się różni i którym pogardza.

Mógł być Kościuszko, nie przestając być pacyfistą, modlić się z szablą w ręce: „O Boże! pozwól mi raz jeszcze bić się“ — gdyż ta modlitwa kończyła się słowami: „za Ojczyznę!“

Nie sprzeniewierzył się też swojej, głęboko zatajonej idei pacyfistycznej, gdy śpieszył walczyć za oceanem — gdyż stawał tam do walki za wolność.

Jeśli ktoś, mianujący się pacyfistą, powstrzymać będzie tych, którzy z bronią w ręce idą na obronę Ojczyzny i wolności, powiedzcie mu wręcz, że jest samozwańcem i wrogiem kraju swego oraz ludzkości.

Niewątpliwie marzeniem pacyfistów jest powszechne rozbrojenie. Modlą się oni do tej chwili błogosławionej, w której miecze przekute będą na pługi, z armat zaś odlane zostaną dzwony, głoszące z wież kościelnych „chwałę na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“... Ale piękne marzenie oczu im na twardą rzeczywistość nie zamyka. Rozumieją, że to sprawa przyszłości, może że nawet bardzo odległej przyszłości, więc na razie ze swego ideału czynią tylko — drogowskaz. Jest on dla nich tem, czem dla żeglarza gwiazda

przewodnia. Nie do gwiazdy żeglarz płynie lecz w kierunku gwiazdy.

Duchy bratnie ciążą ku sobie; żołnierz łączy się najchętniej z żołnierzem. Czemuż od Napoleona Kościuszko stronił, traktował go podejrzliwie i niechętnie, prawie jawną okazywał mu nienawiść?

Nie zmienił tego stosunku nawet rok 1812, choć wskrzeszenie Polski zapowiadał. Lecz i bez tej zapowiedzi, gdyby Kościuszko był urodzonym żołnierzem, fanatykiem wojny i wojennego rzemiosła, porwałby go niezawodnie ten szalony ruch niezliczonych, przesuwających się armji, od którego, dosłownie, ziemia drżała i chwiały się królów siedziby. Wiadomo jednak, że wobec straszego widowiska pozostał widzem, nie obojętnym z pewnością, lecz beczynnym i sceptycznym.

Zaszedł następnie fakt jeszcze wymowniejszy.

Ku końcowi życia naszego bohatera, widzimy go hołdującego pogardzanemu wpięrw przez siebie hasłu Stanisława Augusta „raczej piórem, niż orężem“. Kościuszko wierzy w możliwość załatwienia sprawy polskiej na drodze dyplomatycznej i osobiście śledzi w Wiedniu przebieg akcji kongresowej. Gdy go i ona zawiodła, powraca do swego szwajcarskiego zacisza ze smutkiem w duszy, lecz bez myśli rewolucyjnej. Zresztą o zmartwychwstaniu Polski na chwilę nie zwątpił.

Zbyt wiele wyraził w niej siły, gdy ją pod postacią Chrystusa rozpiął na krzyżu.



9771/1.